

CIVITAS



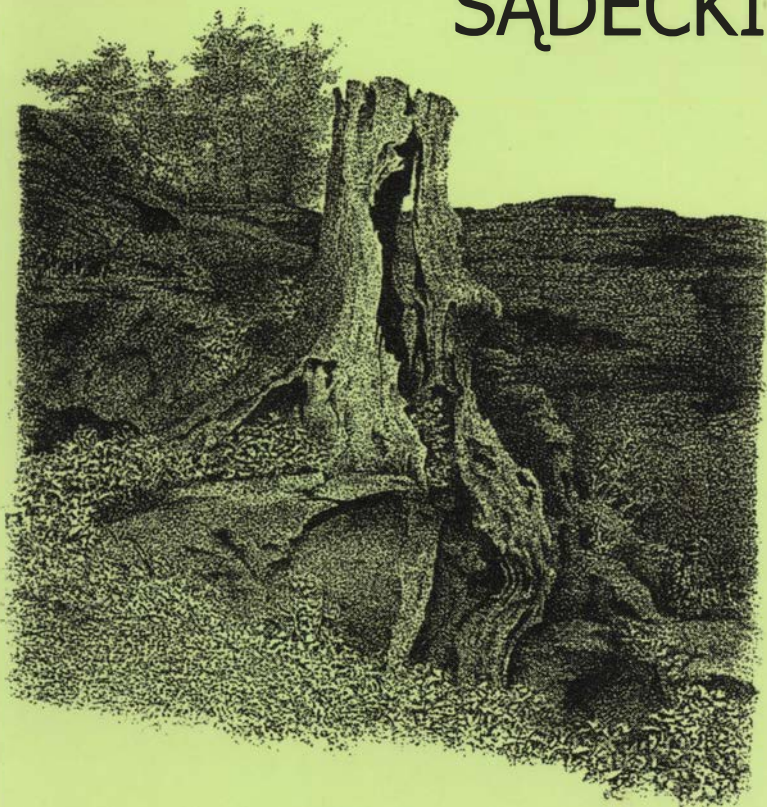
CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
"Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu

ISSN 1232-5910

ALMANACH

SĄDECKI



R. IX
NR 1 (30)

CIVITAS



CHRISTIANA

*Katolickie Stowarzyszenie
"Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu*

ALMANACH

SAUDECKI

R. IX NR 1 (30)



3000004591

SRP Region



Nowy Sącz 2000



208 054

94(438)

Almanach Sądecki (kwartalnik)

Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia

"Civitas Christiana" w Nowym Sączu

33-300 Nowy Sącz

ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3

tel. (018) 443 81 52

Redakcja: Leszek Migrała – red. naczelny
Marek Basiaga
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Druk: S.C. "BAAD"
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 441 28 25

Akc. 11910 2000

Ks. Stanisław Pietrzak

PIERWSI ŚWIĘCI ZIEMI SAUDECKIEJ - ŚWIERAD I BENEDYKT

Święty Świerad, wraz z uczniem Benedyktem, należą do tych postaci, które trzeba, jako tzw. piątą Ewangelię, nie tylko poznać i naśladować, ale także uczcić. Jest on przecież świadkiem wczesnych początków chrześcijaństwa w rejonie środkowego Dunajca, zapewne jednym z głównych korzeni siły wiary w tej okolicy, pierwszym polskim misjonarzem poza granicami kraju i uznanym za jednego z największych ascetów chrystianizmu.

Jego polskie imię, *Świerad*, które otrzymał po urodzeniu lub na chrzcie, jest pokrewne imieniu *Wszerad* i powstało z prasłowiańskiego zaimka *wsze* – wszystek, cały, zawsze i przymiotnika *rad*. Najbardziej było upowszechnione w Małopolsce. W Tropiu nad Dunajcem dawniej miało najczęściej brzmienie *Świrad*. Czeska odmiana tego imienia brzmi *Sverad*, słowacka *Svorad*, a węgierska *Sourad*. Natomiast po łacinie zapisywano *Zoeradus* albo *Zorardus*. W żywotach świętych jego życiorysu trzeba szukać przeważnie pod zakonnym imieniem *Andrzej*. W prawidłowo opracowanych kalendarzach polskich występuje on wraz z Benedyktem pod datą 13 lipca, a w słowackich -17 lipca.

Świerad przyszedł na świat w drugiej połowie X wieku, w rodzinie wieśniaczej. Kiedyś do pokrewieństwa z nim przyznawał się ród Ośmiorogów-Gierałtów, zamieszkały w okolicach Zakliczyna nad Dunajcem. Zakliczyn wówczas miał się nazywać Gołczynem, a nieco później Opatkowicami. Tu właśnie nasz Święty miał się urodzić.

Początek osadnictwa słowiańskiego w rejonie środkowego Dunajca sięga już VI wieku. Co najmniej od IX do XI wieku nad tym odcinkiem Doliny Dunajca domi-

nowały dwa duże wieloczlone grody: poniżej Tropia - w Zawadzie Lanckorońskiej na obrzeżu Kotliny Zakliczyńskiej, a powyżej - w Naszacowicach koło Podegrodzia na obrzeżu Kotliny Sądeckiej. Utrzymywały one rozmaite kontakty zwłaszcza z przodującymi gospodarczo, politycznie i kulturalnie ośrodkami państwa wielkomorawskiego na południe od Karpat. Kontakty te sprzyjały wczesnemu przenikaniu chrześcijaństwa w rejon Dunajca.

Dojrzała świętość, jaką się Świerad odznaczał, wskazuje, że musiał on wyróść w środowisku od dawna już chrześcijańskim. Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że pierwszymi misjonarzami w Dolinie Dunajca byli mnisi (zakonnicy i pustelnicy) irlandzcy, zwani Iroszkotami. Zaludniali oni wówczas liczne klasztory w niemieckiej Bawarii i słowiańskiej Karyntii, a stamtąd docierali na teren Moraw i słowackiej Nitry. Zapewne stąd przenikali do Doliny Dunajca. Istnieje wiele, zwłaszcza nazewnictwych śladów ich pobytu w tej okolicy. Między innymi grecka nazwa położonej wówczas po obydwu stronach Dunajca osady Zawrót, *Tropie*, chyba przez nich została tu wprowadzona: byli przecież znanymi miłośnikami greki. Mogli oni tu przywędrować wraz z duchownymi słowackimi i bawarskimi już wtedy, gdy na początku X wieku (około roku 906) Węgrzy, przybywszy ze wschodu, zajmowali tereny nad środkowym Dunajem i niszczyli tamtejsze ośrodki kościelne państwa wielkomorawskiego. Albo nieco wcześniej, bo już przed 880 rokiem, gdy wielkomorawski arcybiskup św. Metody słał misyjne poselstwa do kraju Wiślan, zapewne naddunajekim szlakiem. Albo jeszcze wcześniej, około połowy IX wieku, gdy wielkomorawski książę Rościsław pozbywał się obcych, zwanych niemieckimi, duchownych. Tym napływającym spoza Karpat zakonnikom i pustelnikom Dolina Dunajca może zawdzięczać pierwszy zasiew Ewangelii. W stworzonym przez nich jakimś ośrodku życia chrześcijańskiego nad Dunajcem, uzależnionym od środowiska nitrzańskiego za Karpatami, wychowywał się później, pod koniec X wieku, nasz Święty.

Przez wiele lat Świerad prowadził pełne trudów i umartwień życie w pustelni pod skałą w pobliżu Czchowa, w Tropiu nad Dunajcem w ziemi sądeckiej. I tu zasłynął z *"przykładnego życia i obyczajów"*. Zanotował to, orientacyjnie pod rokiem 998, średniowieczny polski historyk Jan Długosz (1480), który był znawcą tej okolicy i jej tradycji. On też na własne oczy stwierdził istnienie tej pustelni jeszcze w jego czasach. W swojej *Historii Polski* napisał tak:

"998 [...] Dwaj mężowie, wyróżniający się w owym czasie przykładnym życiem i obyczajami, [mianowicie] Świrad, który nad rzeką Dunajcem w pobliżu miasta Czchowa w diecezji krakowskiej zamieszkiwał pustelnię pod skałą, którą jeszcze dziś widzimy i w której przez wiele lat trudził się dla Chrystusa, i Benedykt, oby-

dwaj prowadzący życie pustelnicze, wyszedłszy z Polski, udali się do Panonii. [...] Świrad, zwany też «Zorardus»; dzięki umartwieniom, zasłużył sobie na chwałę wyznawcy, a Benedykt, przelawszy krew, został uwieńczony koroną męczeństwa".

Długosz, jak widzimy, nie zanotował wielu szczegółów tego przykładowego życia i obyczajów św. Świerada w Tropiu. Musimy się ich domyślać zwłaszcza na podstawie opisu ostatnich lat jego życia pozostawionego przez zmarłego w 1070 roku węgierskiego żywotopisarza, bł. Maurusa.



Andrzej Świrad – rys. Wanda Zaremba

Późniejsi polscy żywotopisarze odnotowali również tradycje o życiu w pobliżu Tropia także innych pustelników - towarzyszy i uczniów św. Świerada. Miał nim być w Tęgoborzy świątobliwy Just, noszący imię bretońsko-irlandzkiego świętego pustelnika-pielgrzyma, Justa-Jodoka, patrona irlandzkich pustelników i pielgrzymów. Natomiast w Iwkowej czci się pamięć świątobliwego pustelnika Urbana. Jego imię ma jakiś związek z kultem relikwii św. Urbana I, papieża, w alzackim Erstein i patrona winnic w Nitrze. Można się domyślać, że to ów Urban towarzyszył Świeradowi do końca życia jako pustelnik na Zoborze koło Nitry i na Skalce nad Wagiem, lecz pod zakonnym imieniem *Benedykt*. Na podstawie zanotowanej w XVII wieku tradycji, można w ich otoczeniu dopatrzeć się także niejakiego Barnaby, późniejszego

go współtowarzysza zamordowanych w wielkopolskiej pustelni Pięciu Braci Męczenników. Może i dwaj spośród nich, święci Izaak i Mateusz, dotąd nieustalonego pochodzenia, ale "z kraju i mowy słowiańskiej" oraz imiennie nieznanne ich siostry, które "służyły Bogu w klasztorze w gronie dziewic", mieli tu swój pierwotny pobyt.

Zapewne w 1018 roku, gdy doszło do przyjaznych kontaktów władców Polski i Węgier, czyli Bolesława Chrobrego i św. Stefana, i odsunięcia międzypaństwowej granicy od Dunaju ku Karpatom, a zwłaszcza na wyrażane przez św. Stefana zapotrzebowanie, Świerad, "wiedziony natchnieniem Ducha Świętego", udał się na południe, w okolice miasta Nitry, ośrodka węgierskiej władzy wśród ludności słowackiej. Jedenastowieczny, powstały przed rokiem 1083 węgierski *Żywot św. Stefana* tak mówi o okolicznościach tego wydarzenia:

"Po zwyciężeniu nieprzyjaciół, Chrystusowy rycerz [Stefan], napełniony duchową radością, z pełną rozważą podjął decyzję, że stanie się naczyniem ewangelicznego zasiewu Dla rozpoczęcia i wypełnienia tego postanowienia, mając już zgodę synodu, za pośrednictwem posłów i listów rozgłaszał swoje pragnienie na wszystkie kraje. Dlatego liczni kapłani i klerycy, natchnieni przez Ducha Świętego, porzucający rodzinne strony, wybrali się na obczyznę; także niepragnący posiadania czegokolwiek opaci i mnisi. Między nimi przybył prowadzący życie zakonne ojciec Astryk ze swoimi uczniami [...]. Przybyli także i inni dwaj z krainy zawładniętej przez Polan, wybierając dla prowadzenia kontemplacji życie pustelnicze; z nich jeden, imieniem Andrzej, zasłużony się wyznaniem wiary, został przyjęty do chóarów anielskich, a drugi, Benedykt, za przelanie krwi dla Chrystusa został cudownie ozdobiony chwałą".

Tak więc, choć Świerad-Andrzej na nitrzańskej ziemi prowadził przede wszystkim kontemplacyjny i pustelniczy styl życia, to jednak motyw miał misyjny: chciał - jak podaje inne źródło - "dopełniać niezwykłą radość świętego życia nawróconych". Wyraźnie o tym świadczą także jego późniejsze sukcesy apostołskie wśród leśnych zbójników .

Dla zrealizowania swojego pragnienia najpierw wstąpił do klasztoru na zboczu góry Zobor koło słowackiej Nitry. Przyjął habit i imię zakonne *Andrzej*. Wkrótce znów podjął życie pustelnicze, najpierw w grocie skalnej niedaleko klasztoru, a później prawdopodobnie także w jaskini na Skalce koło Trenczyna nad rzeką Wag.

Ten ostatni okres jego życia, śmierć i pośmiertne cuda, około 1064 roku wiarygodnie opisał, zapewne dla celów kanonizacyjnych, biskup węgierskiego miasta Pecs, bł. Maurus. Tenże, jeszcze jako żak szkolny, osobiście widział naszego świętego. Ale szczegóły jego pustelniczego życia poznał z opowiadań jego ucznia Bene-

dykta. Natomiast o śmierci Świerada, a w trzy lata później o zamordowaniu Benedykta, i znów rok później o znalezieniu jego ciała, a wreszcie o cudach, jakie zdarzyły się w opuszczonej przez nich pustelni na Skałce i w samej Nitrze, Maurus dowiadywał się na bieżąco od opata Filipa, gdy już sam był opatem klasztoru na górze św. Marcina, czyli w latach 1030-1036. I chyba też na bieżąco nieco notował. Oddajmy głos Maurusowi w nowym polskim przekładzie z łaciny.

"Żywot świętych pustelników Świerada-Andrzeja wyznawcy i Benedykta męczennika napisany przez Maurusa biskupa Pecu.

1. W czasach, gdy pod władaniem wielce chrześcijańskiego króla Stefana w dotąd pogańskiej Panonii zaczęły się krzewić chwała Boża i życie religijne, wielu kapłanów i zakonników, obcokrajowców, postłyszawszy wieść o dobrym władcy, napływało do niego jak do ojca. A czynili to nie przymuszeni jakąś koniecznością, lecz aby z ich udziału dopełniła się niezwykła radość świętego życia nawróconych.

Między nimi, pobudzony natchnieniem Ducha Świętego, przybył do naszej ojczyzny z krainy zawładniętej przez Polan pewien mąż imieniem Świerad, wyrosły ze stanu wieśniaczego jak róża spośród cierni. Przyjąwszy habit i imię Andrzej od opata Filipa, którego klasztor, zwany Zobor, został założony na nitrzańskej ziemi ku czci świętego Hipolita męczennika, postanowił prowadzić życie pustelnicze.

O tym, jak się tam ogromną skruchą serca i umartwieniem ciała zadreślał, postanowiłem krótko opisać według tego, co usłyszałem z ust jego zacnego ucznia, Benedykta, wspólny z nim żyjącego. Wprowadzie ja, Maurus, teraz z łaskowości Bożej biskup, wtedy zaś żak szkolny, zacnego męża widziałem, lecz jaki był sposób jego życia, poznałem nie naocznie, lecz ze słyszenia. Do naszego bowiem klasztoru, poświęconego świętemu Marcinowi biskupowi, wspomniany już brat Benedykt często zachodził i o jego świętobliwym życiu opowiadał mi następujące szczegóły.

2. Gdy już tenże czcigodny mąż Andrzej znalazł się na pustelniczym od ludzi, nieustannie praktykował posty, które wprowadzie bardzo wyniszczały ciało, ale wzmacniały jego życie duchowe. Przez trzy dni [w tygodniu] powstrzymywał się od wszelkiego pożywienia, pragnąc zyskać łaskowość Tego, który dla dobra ludzi stawszy się człowiekiem, pościł przez czterdzieści dni. Gdy zaś nadchodził okres Wielkiego Postu, wzorując się na regule zakonnej, którą kierował się opat Zozimas, spędzając każdy czterdziestodniowy post o czterdziestu daktylach, przyjmował od ojca Filipa, który mu nałożył habit, czterdzieści orzechów i zadowalając się tym pożywieniem,

z radością oczekiwał dnia Świętego Zmartwychwstania.

W dniach postu i pozostałych, chociaż to, co jadał, nie tylko nie wystarczało do pokrzepienia ciała, ale i zmysły doprowadzało do osłabienia, on jednak nigdy, z wyjątkiem czasu przeznaczanego na modlitwę, nie rezygnował z pracy. Biorąc topór, udawał się na leśne odludzie, aby pracować. Pewnego dnia, gdy z powodu przepracowania i surowego postu wycieńczony na ciele i zmysłach padł omdlały, ujrzał jakiegoś młodzieńca o przepięknym wyglądzie i w anielskiej postaci, który go ułożył na wozie i przewiózł do pustelni. Gdy po przeżyciu tej ekstazy wrócił do zmysłów i uprzytomnił sobie, co sprawił mu miłosierny Bóg, zwierzył się z tego wspomnianemu wyżej uczniowi Benedyktowi - od którego wiem to wszystko - zobowiązując go pod przysięgą, aby przed dniem jego śmierci nikomu tego nie ujawnił.

3. Natomiast po całodziennej pracy zezwalał ciału na taki tylko odpoczynek nocny, który bardziej zasługiwał na miano tortury i udręki, niż odpoczynku. Mianowicie, równo obcięty pniak dębowy otoczył plecionką, przez którą ze wszystkich stron powbijał zaostrome kolce z trzciny. Siedział więc na tym pniju jak na krześle, aby dać odpoczynek członkom. Gdy jednak przypadkiem zmożone sennością ciało przechylało się w którąś stronę, ostrym kolcem boleśnie uklute, powracało do czuwania. Ponadto na swoją głowę nakładał wykonaną z drzewa koronę, do której z czterech stron zawieszał cztery kamienie, aby uderzały go po głowie, gdyby senna przechylała się w którąś stronę.

O, jak kosztownie jesteś wysłużona na ziemi, nagrodą błogosławionego męża Andrzeja, korono stokrotnie ozdobiona - życie szczęśliwe i wieczne! Niesłychany rodzaj wyznania wiary, który tym cenniejszym czyni obiecane królestwo! Ani pokarm, ani odpoczynek złudną słodyczą nie mogły odwieść go od życia wiecznego, a zły duch nie potrafi znaleźć dostępu, aby go oszukać!

4. To, co wyżej zostało podane, dowiedziałem się z opowiadań wspomnianego już ucznia Benedykta, który po śmierci swojego ojca postanowił sam zamieszkiwać w tym samym miejscu. Po trzech latach bardzo surowego życia na wzór swojego mistrza, napadli na niego zbójcy. Zawlekli go na brzeg rzeki Wag i spodziewając się, że znajdą u niego wiele pieniędzy, udusili go i utopili w wodzie. Długo i bezskutecznie poszukiwano jego ciała. Tylko przez cały rok widywano orła, który siadywał na brzegu Wagu, jakby miał czegoś strzec. Dzięki temu, uzyskawszy pewność, gdzie znajduje się ciało, spuścili do wody nurka i tak znaleziono ciało. Było nietknięte, jakby dopiero zmarłego. Pochowano zaś tegoż Benedykta w bazylice św Emerama, w tym samym grobie, w którym już spoczywały kości błogosławionego Andrzeja,

jego świętego ojca. Ten właśnie [Benedykt] opowiedział mi to wszystko, co dotąd o czcigodnym mężu spisałem. A co następuje, zwykł mi opowiadać opat Filip, gdy już sam zostałem opatem.

5. Gdy już zbliżał się czas uwolnienia od ciała, przepowiedział to obecnym i polecił, żeby nie zdejmowano z niego żadnych szat, dopóki nie przybędzie opat Filip, po którego już posłał. Ów ojciec, przybywając na miejsce, gdzie czcigodne ciało, już zmarłego, zostało złożone do obmycia, zauważył mosiężny łańcuch wżerający się do wnętrzości. I oto dziwna i niesłychana rzecz: łańcuch niszczący wewnątrz ciało gangreną, na zewnątrz porosły był skórą! Lecz nikt by się tego rodzaju męczeństwa nie mógł domyśleć, gdyby na brzuchu nie zauważono metalowej sprzączki. Gdy już rozpięty łańcuch wyciągano z ciała, dał się słyszeć nieprzyjemny chrzęst uszkodzanych żeber.

Połowę tego łańcucha wyblągałem od opata i przechowywałem do dziś, ale gdy wielce chrześcijański książę Gejza usilnie się o nią dopraszał, nie mogłem mu odmówić.

6. Po złożeniu ciała błogosławionego męża w grobie, zachowałem w pamięci, jako godne uwagi, dalsze zdarzenia, które mi ujawnił opat Filip.

Pewnego razu zbójcy, których bandy przebywają głównie na odludziu, spotkali się w borze. Gdy doszło do bijatyki, jednego spośród siebie ciężko zranili. Po przerwaniu walki, ponieważ współnicy nie chcieli tego rannego pozostawić w lesie, naradziwszy się, postanowili go przenieść do pustelni wspomnianego wyżej męża Andrzeja, którego sława rozniosła się szeroko. Lecz ponieważ do tego miejsca było daleko, zbójnik w drodze zmarł. Donieśli jednak ciało do pustelni i w niej je złożyli. Gdy o północy chcieli je pogrzebać, zmarły, niespodziewanie odzyskawszy życie, zaczął się podnosić. Obecni, bardzo przestraszeni, w popłochu rzucili się do ucieczki. Lecz ów zmarłychwstały wołał za nimi: „Nie bójcie się bracia i nie uciekajcie: to święty Świerad przywrócił mnie ze śmierci do życia!” Popłakali się z radości i prosili go, aby poszedł z nimi. Ale ten im odpowiedział, że od pustelni nigdy nie odejdzie, lecz zostanie tu na zawsze, służyć Bogu i świętemu Świeradowi. Zrobił więc, jak przyrzekł i przebywał tam aż do śmierci.

7. Nie chciałbym pominąć milczeniem jeszcze innego jego cudu, o którym dowiedziałem się z opowiadania tegoż ojca Filipa.

W mieście Nitrze powieszono jakiegoś skazanego na śmierć złoczyńcę. Ale ten, uzyskawszy od miłosiernego Boga ulaskawienie, przyszedł do opata Filipa i wyjaśnił, jak został uwolniony przez wstawiennictwo błogosławionego Andrzeja. Powiedział, że po otrzymaniu wyroku nieustannie wzywał jego

imienia. Więc gdy zawisł na szubienicy, natychmiast błogosławiony Andrzej podtrzymał go swoimi rękami. A gdy wszyscy obecni, uważając go już za zmarłego, rozeszli się do domów, sam [błogosławiony] odwiązał go własnoręcznie i pozwolił odejść.

O, jakże pełen zasług przed Bogiem jest ten mąż, co ukazując się naocznie, ratuje ludzi, a niewidoczny - przebywa w chórach anielskich!"

Z powyższego tekstu Maurusa i z faktu, że był on opatem w latach 1030-1036, łatwo obliczyć, że św. Świerad-Andrzej zmarł około 1031 roku. Stało się to zapewne 17 lipca, w dniu św. Aleksego, skoro wnet potem właśnie na ten dzień wyznaczono doroczne wspomnienie lub uroczystość jego "narodzin dla nieba".

Zaraz po śmierci został otoczony religijnym kultem ludowym i liturgicznym. Jego ciało ze czcią złożono w bazylice, dzisiejszej katedrze, w Nitrze. W tym samym roku królowa Gizela wyhaftowała ponoć jego podobiznę na płaszczu koronacyjnym królów węgierskich, do dziś przechowywanym. Pokutujący zbójnicy, modląc się do niego, doznali cudów. Powstały pierwsze modlitwy mszalne ku jego czci. Zapewne został dokonany jakiś diecezjalny akt jakby beatyfikacji, przeprowadzony przez arcybiskupa ostrzyhomskiego. W Tropiu nad Dunajcem, jak w 1620 r. zanotował włoski autor Tomasz Mini, już około 1045 roku nad fundamentami pustelni św. Świerada król Kazimierz Odnowiciel miał ufundować kościół ku jego czci. Zresztą, w tym zakątku Małopolski miał wówczas przebywać na wygnaniu węgierski książę Bela, małżonek siostry Kazimierza. Ich pierwszy syn, Magnus-Gejza, wróciwszy na Węgry, wyprosił od Maurusa połowę łańcucha św. Świerada, jako cenną relikwię. Ich drugi syn, Władysław, już jako król węgierski, doprowadził w 1083 r. do uroczystej i oficjalnej, bo z udziałem legata papieskiego, kanonizacji świętych pustelników Świerada-Andrzeja i Benedykta w gronie pięciu świętych ówczesnego królestwa węgierskiego, którzy *"rzucili pierwsze nasiona chrześcijańskiej wiary w ziemię węgierską, a swoim przepowiadaniem i sposobem życia nawrócili ją do Boga"* - jak na początku XII wieku zanotował biskup Hartwik. Odtąd stali się też współpatronami katedry i diecezji nitrańskiej. Jednak szczególna cześć świętych pustelników skoncentrowała się na Skalce koło Trenczyna, gdzie Świerad miał umrzeć w pustelniczej grocie, a Benedykt został uduszony przez zbójców i zepchnięty ze skały do Wagu. Miejsca te zostały wnet upamiętnione fundacją kościoła, a później klasztoru na Skalce. Zarówno na Skalce, jak i w Nitrze, w Podolińcu nad Wagiem oraz w polskich górach św. Świerad zasłynął jako patron nawracających się zbójników i innych złoczyńców.

W Polsce oazą kultu św. Świerada-Andrzeja, a od roku 1641 także św. Benedykta, jest Tropic. Czci się go tu od XI wieku nie pod zakonnym imieniem *Andrzej*,

lecz rodzimym, *Świerad*. Jest to znak, że kult ten zaczął się jeszcze przed kanonizacją, niezależnie od niej i od węgierskich ksiąg liturgicznych. Imieniem *Święty Świerad* nazywano w średniowieczu miejscowość i całą parafię Tropie. Tym imieniem często chrzczono dzieci, a później pełniło ono rolę także i nazwiska w formie: *Świerad*, *Świeradzik*, *Świeradzki lub Sieradzki*. Imię *Świradus* pod datą 17 lipca weszło do niektórych najstarszych ksiąg liturgicznych.

Niestety, nie miał u nas takiego szczęścia św. Benedykt pustelnik. Choć razem ze *Świeradem* - jak podaje *Żywot św. Stefana* - wyruszył z Polski na węgierską wówczas Słowację, był nieodłącznym jego towarzyszem, został pochowany w jego grobie, otrzymał wspólne z nim święto i przeważnie wspólne modlitwy liturgiczne, rzadko bywa wspomniany u nas jako polski święty. Bo ani Maurus, ani biograf św. Stefana nie podali jego przedzakonnego, polskiego imienia, jak podano pierwotne imię Andrzeja, *Świerad*. Ale wiele wskazuje na to, że owym znanym z Zoboru i ze Skalki Benedyktem był czczony w pobliżu Tropia, w Iwkowej, leżącej w granicach dawnej Sądecczyzny, pustelnik o imieniu *Urban*. Imię to wskazuje, że z urodzenia mógł on być Słowakiem z ziemi nitrzańskiej (jak twierdzą Słowacy), z ośrodka kultu św. Urbana papieża, lecz przez jakiś czas kształtował się w pobliżu św. *Świerada* nad Dunajcem. I w takim razie może być uważany za naszego świętego.

W Tropiu ze czcią zabezpiecza się wszystkie ślady św. *Świerada*. Na zboczu wzgórza skalnego, na którym wznosi się kościół św. *Świerada*, stoją jeszcze resztki pnia starego dębu; w jego pniu miał mieć swoje pierwsze pustelnicze schronienie nasz *Święty*. Około 800 m od kościoła stoi domurowana do skalnej groty kaplica zwana pustelnią. Zbudowano ją dla zabezpieczenia pustelniczej siedziby św. *Świerada*, o której przed 1480 rokiem pisał Jan Długosz. To modlitewne zacisze w lesie bardzo lubią nawiedzać i dzisiejsi pielgrzymi. Modlą się oni także przy pobliskim leśnym źródle, z którego nasz święty miał czerpać wodę.

Szczególny jednak podziw pielgrzymów wzbudza kościół św. *Świerada* i Benedykta w Tropiu. Położony na piętnastometrowej skale wznoszącej się nad wodą Dunajca, z daleka przyciąga wzrok podróżujących naddunajekim szlakiem turystów. Najbardziej jednak spieszą do niego, pragnący łatwiejszego i bliższego kontaktu z Bogiem, pielgrzymi.

Kościół ten jest jednym z najstarszych w Polsce. Początkami sięga, jak wiemy, może nawet 1045 roku, a najpóźniej mógł powstać - jak twierdzą historycy i archeologowie - wnet po kanonizacji w r. 1083. Jest romański, choć nie ominęły go jakieś przebudowy i rozbudowy, zwłaszcza w XIII i XVII wieku. Wewnątrz kościoła znajduje się najstarsze w Polsce malowidło ściennie: niewielki fragment ro-

mańskiego fresku z pierwszej połowy XII wieku. Ma on przedstawiać postać węgierskiego króla, św. Stefana, tego, który Świerada i Benedykta sprowadził na węgierską wówczas Słowację, aby *"dopełniali niezwykłą radość świętego życia nawróconych"*, dając im niejako szansę stania się pierwszymi rdzennie polskimi misjonarzami.

O innych zabytkach: romańskich, gotyckich, renesansowych, barokowych i późniejszych tej świątyni i całego sanktuarium dowiadują się pielgrzymi, słuchając żywego, albo magnetofonowego przewodnika funkcjonującego przy i w kościele. Dostępny jest on codziennie przez cały rok. Wystarczy podejść pod drzwi kościoła i załączyć specjalnym kontaktem.

Bardziej rozmodlone osoby lub grupy mogą skorzystać jeszcze z innych ubogających modlitwę udogodnień. Oto z okazji obchodzonego w 1983 roku w Tropiu jubileuszu 900-lecia kanonizacji św. Świerada i Benedykta została urządzona tzw. Kalwaria Polskich Świętych w postaci drogi krzyżowej, prowadzącej od pustelni i źródła przez górzysty las ku kościołowi. Poucza ona pielgrzymów, jak poszczególne treści drogi krzyżowej Pana Jezusa odzwierciedlały się w życiu naszych pustelników i innych trzynastu polskich świętych.

Natomiast na pamiątkę jubileuszu 1000-lecia pustelniczego życia św. Świerada w Tropiu, obchodzonego tu w 1998 roku, całe skalne wzgórze kościelne opasano tzw. Różańcem Polskich Świętych. Wykonany jest z dużych kamiennych paciorków, dla których materiału dostarczył ten sam pobliski kamieniołom, z którego w XI wieku pobierano budulec na kościół. Tajemnice różańcowe ilustrowane są opisami czynów św. Świerada i kolejnych kilkunastu polskich świętych. W ten sposób stają się oni jakby obecni w naszej modlitwie różańcowej i modlą się wraz z nami.

Doroczna uroczystość odpustowa w Tropiu obchodzona jest w niedzielę najbliższą 13 lipca. Uczestniczą w niej także liczne grupy pielgrzymów ze Słowacji, a niekiedy i z Węgier. Bo zarówno na Słowacji jak i na Węgrzech w księgach liturgicznych i w praktyce modlitewnej przechowuje się pamięć o tym, skąd do klasztoru na górze Zobor przybył św. Świerad. Przy okazji tej pielgrzymki podtrzymują oni zwyczaj praktykowany już w średniowieczu: na ołtarzu składają dar wina mszalnego z tamtejszych winnic, z wdzięczności za tego świętego. Najstarszy zapis tego odpustowego daru pochodzi z 1596 roku. Tydzień później podobna uroczystość odbywa się na Słowacji, na Skałce koło Trenczyna nad Wagiem, tym razem z udziałem polskich pielgrzymów.

Kościół w Tropiu jest też szczęśliwym posiadaczem cząstki relikwii św. Świerada. Są one przedmiotem szczególnej czci, zwłaszcza w środę podczas cotygodnio-

wego nabożeństwa ku czci świętych Pustelników. Poza Tropiem, Nitrą, Skalką i Muzeum Narodowym w Budapeszcie posiadaczem części relikwii jest także papież Jan Paweł II.

Papież określa św. Świerada tytułem: **"Mój Rodak"**: Według niego, jest on **"jednym z korzeni siły tysiącletniej religii chrześcijańskiej w Polsce"**. Wszystkich rodaków śś. Świerada-Andrzeja i Benedykta zachęca: **"Kroczcie nadal bruzdą wyoraną przez tych dwóch świętych"**: A tą bruzdą jest: stawianie Boga i serdecznego z Nim obcowania wszędzie na pierwszym miejscu, służenie ludziom zwłaszcza modlitwą i pracą oraz panowanie nad sobą przez praktykowanie ascezy. Te myśli papież wypowiadał wielokrotnie: w liście do katolików słowackich w 1980 r., w liście do katolików polskich, słowackich i węgierskich w 1983 r., a także specjalnie do katolików diecezji tarnowskiej, gdy jeszcze jako metropolita krakowski, w 1966 r. brał udział w diecezjalnej uroczystości Milenium Chrztu Polski, odbywającej się przy kościele i pustelni w Tropiu. Wtedy właśnie do zgromadzonych rzesz skierował ważną zachętę: **"Tu trzeba przypieliżyć i na tym miejscu uklęknąć!"**

(Przekłady tekstów łacińskich: Maurusa, Długosza i Żywota św. Stefana - własne autora).

Podstawowe teksty modlitewne:

a) Jedenastowieczne, z *Sakramentarza zagrzebskiego* (z Hahót):

Za przyczyną św. Świerada-Andrzeja:

Boże, Ty swojego wyznawcę, świętego Andrzeja, udręczonego zmaganiem się z ukrywanym cierpieniem, uczyniłeś uczestnikiem szczęśliwej nieśmiertelności; jak dzięki jego zasługom jesteśmy uwalniani od rozmaitych udręk cielesnych, tak spraw, abyśmy za jego wstawiennictwem zasłużyli także na otrzymanie bogactwa radości duchowych. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Za przyczyną św. Benedykta:

Boże, Ty świętego Benedykta - gdy wypełniły się udręki jego męczeństwa, a żałobna straż orła go wskazała - uczyniłeś opiekunem naszego ludu; spraw, błagamy, abyśmy chlubiąc się rozmaitymi przejawami cudownej jego opieki, nieustannie doznawali jego wstawiennictwa u Ciebie. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

b) Współczesne, z mszałów i brewiarzy:

Za przyczyną śś. Świerada-Andrzeja i Benedykta, modlitwa polska:

Najłaskawszy Boże, Ty sprawiłeś, że święci Andrzej i Benedykt oddali się Tobie samemu przez podziwu godną wstrzeźliwość i wytrwałą surowość życia; spraw za ich wstawiennictwem, abyśmy przez nieustanną pokutę usunęli grzech z naszych serc i oczyszczoną duszą służyli Tobie. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen

Za przyczyną śś. Świerada-Andrzeja i Benedykta, modlitwa słowacka:

Miłościwy Boże, z Twojego natchnienia święci Świerad Andrzej i Benedykt obrali życie w zaciszu pustelni, aby Ci modlitwą, pracą i milczeniem doskonalej służyli; za ich wstawiennictwem pomóż i nam wśród zgiełku tego świata wsłuchiwać się w Twój głos i konsekwentnie pełnić Twoją wolę. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

(Przekład tekstów z *Sakramentarza zagrzebskiego* oraz z *Mszału słowackiego* - własny autora, ks. Stanisław Pietrzak)

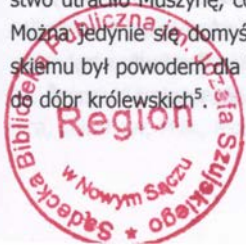
Piotr Rychlewski

ZARYS DZIEJÓW KLUCZA MUSZYŃSKIEGO DO KOŃCA XVIII STULECIA

Terminem *klucz muszyński* określano, usytuowany na terenie Sądeckczyzny, zespół dóbr biskupstwa krakowskiego, który obejmował miasteczka Muszynę i Tylicz (Miastko) wraz z przyległymi wsiami, gdzie Muszyna pełniła rolę centrum administracyjnego. Dla wymienionego wyżej kompleksu dóbr w źródłach i literaturze spotykamy szereg innych określeń, takich jak: kres muszyński, kres biskupi państwa, kres krynicki (sic!), starostwo muszyńskie, państwo muszyńskie lub państwo biskupie, czy też "Biskupszczyzna".

Genezę własności feudalnej biskupstwa krakowskiego w południowo-wschodniej Sądeckczyźnie należy wiązać z aktem ugody zawartym 18 maja 1288 r. między biskupem krakowskim Pawłem z Przemankowa, a bratanicą zmarłego scholastyka krakowskiego Wysza i jej mężem komesem Mironegiem, synem kasztelana połanieckiego Dzierżykraj, także krewniaka Wysza¹. Otóż przed r. 1288 Wysz, z rodu Półkoziców zapisał w testamencie Muszynę i Świniarsko (koło Sącza) Pawłowi z Przemankowa². Po śmierci scholastyka zapis zakwestionowali krewni, co doprowadziło do procesu z biskupem krakowskim w 1288 r. W wyniku zawartej ugody, którą 23 maja 1288 r. potwierdził książę krakowski Leszek Czarny, biskup krakowski otrzymał na własność stołu biskupiego dobra Muszynę i Świniarsko, zrzekając się równocześnie roszczeń do innych posiadłości pozostałych po Wyszu³.

Stan ten jednak nie trwał zbyt długo, gdyż z początkiem XIV stulecia biskupstwo utraciło Muszynę, co niektórzy badacze wiążą z tzw. buntem wójta Alberta⁴. Można jedynie się domyślać, iż fakt, że biskup Muskata sprzyjał Wacławowi Czeskiemu był powodem dla którego Władysław Łokietek odebrał mu Muszynę i wcielił do dóbr królewskich⁵.



Była to autonomiczna niejako własność krakowskiego stołu biskupiego, licząca blisko 450 km², rządząca się własnymi prawami, z własną "siłą zbrojną" i stanowiła "dziedziczną" własność, której najwyższym zarządcą był aktualnie urzędujący biskup krakowski. Administratorem klucza był zaś ustanowiony przez biskupa starosta muszyński⁹, który pełnił nie tylko funkcję zarządcy dóbr, ale i naczelnika sił zbrojnych (harnicy). Stan ten był następstwem specyfiki niebezpiecznego pogranicza polsko-węgierskiego i rozplenionego na tym terenie zbójnictwa beskidzkiego¹⁰. Niekiedy biskupi wydzierżawiali swój klucz i wtedy starostowie byli zarazem tenutariuszami¹¹. W zakresie kompetencji muszyńskiego starosty mieściła się także władza sądownicza¹². Stał on na czele doraźnego sądu kryminalnego, który miał charakter sądu specjalnego oraz nadzwyczajnego i był właściwy dla całego klucza muszyńskiego. Zwany był *sądem prawa gajnego wielkiego kryminalnego*¹³ i jak przypuszcza Stanisław Płaza powstał przed 1647 rokiem, a zasiadali w nim przedstawiciele sądów ławniczych, radzieckich i cechowych. Składał się z "trojga prawa": muszyńskiego, tylickiego i kreskiego. Jego właściwość rzeczowa ograniczała się do najcięższych spraw karnych, tzw. gardłowych.

Doraźny sąd kryminalny był jednym z najważniejszych w całym rozbudowanym systemie sądownictwa klucza muszyńskiego. We wsiach sprawowali je, jedynie w drobnych sprawach cywilnych i karnych, sołtysi - stopniowo wypierani przez wójtów, którzy byli powoływani przez gromady. W miasteczkach wykonywały je sądy ławnicze i radzieckie oraz cechowe. Dla wsi całego klucza doraźny sąd kryminalny funkcjonował jako pierwsza instancja dla poważniejszych spraw karnych i cywilnych oraz jako kontrolna dla orzecznictwa sądów gromadzkiego szczebla. Natomiast wyższą instancją dla wszystkich mieszkańców klucza był sąd zamkowy - starościński (tj. zarządcy dóbr). Instancją nadrzędną nad nim był sąd komisarza biskupa, który w praktyce funkcjonował jako organ kontrolny. Zaś najwyższą instancją był sąd biskupi w Krakowie¹⁴. Urząd starosty (zarządcy klucza)¹⁵ przetrwał w kresie muszyńskim bez zmian, aż do likwidacji klucza w 1781 roku¹⁶.

Rozległe dobra muszyńskie zostały zasiedlone w dwóch fazach kolonizacji - w wieku XIV przeprowadzono tutaj kolonizację niemiecko-polską, a w wieku XVI i XVII osadnictwo na tzw. prawie wołoskim¹⁷. Zjawisko zagęszczenia osadnictwa w kluczu muszyńskim jest najbardziej widoczne na przestrzeni lat 1581 - 1629, kiedy to liczba wsi wzrosła z około 12¹⁸ do ogółem 28¹⁹, by w drugiej połowie XVII w. osiągnąć liczbę 35 wsi i 2 miasteczek²⁰. Były to - "stołeczna" Muszyna i Tylicz oraz wsie: Andrzejówka, Banica, Berest, Brunary Niżne, Brunary Wyżne, Byliczna, Czarna, Czerna, Czertyżne, Dubne, Florynka, Izby, Jastrzębik, Jaśkowa, Kamianna, Krynica, Leluchów, Milik, Mochnaczka Niżna, Mochnaczka Wyżna, Muszynka, Piorunka,

Polany, Powroźnik, Słotwiny, Stawisza, Szczawnik, Śnietnica, Wawrzka, Wierchomla Mała, Wierchomla Wielka, Wojkowa, Złockie, Zubrzyk i Żegiestów. W ten sposób klucz muszyński stał się największą, stanowiącą 1/7 całości, częścią dóbr biskupstwa krakowskiego²¹.

Władcy kresu muszyńskiego - biskupi krakowscy - dbali o rozwój swoich posiadłości. Świadczą o tym dokumenty lokacyjne wsi tego klucza. O rozwoju osadnictwa wołoskiego na terenie południowo-wschodniej Sądecczyzny można się sporo dowiedzieć przeglądając rejestry poborowe. I tak - rejestr z 1581 roku podawał, że klucz muszyński liczył: 63 półdworzyszcza wołoskie, 2 piły traczne, 2 huty szklane i 2 szklarzy. O wzroście osiedlenia wołoskiego na tym terenie dowiadujemy się z kolejnego rejestru podatkowego, z 1595 roku. Widzimy tu już: 100 półdworzyszczy wołoskich, 15 półdworzyszczy innych, 2 huty szklane i 2 młyny (z których jeden był zakupny o dwóch kołach, a drugi doroczny - również o dwóch kołach), a także 4 koła trackie, 4 młynarzy, 3 kowali, 10 komorników z bydłem, 20 sołtysów z włókami i 11 zagrodników z rolą²².

Do największych wsi w kluczu muszyńskim w XVII w. należały: Powroźnik, Krynica, Milik, Florynka, Mochnaczka Niżna i Izby. Każda z tych wsi liczyła średnio 216 mieszkańców (co daje 20% ludności klucza). W okresie, od połowy XVI do połowy XVII w., najbardziej rozwinęły się Krynica, Milik i Izby. Liczba ludności wzrosła w nich 5 - 8 razy. Należy przy tym zaznaczyć, że początkowe zaludnienie klucza było nieliczne i wynosiło w XVI w. 3000 osób. Jednak już w połowie XVII wieku liczba ta wzrosła do 6000 osób. Muszyna liczyła wtedy 541 mieszkańców, a Tylicz (wcześniejsze Miastko) 352²³. Zaś pod koniec funkcjonowania klucza jako własności biskupiej - w roku 1780 źródła podają, że w Muszynie odnotowano 1153, a w Tyliczu 993 mieszkańców²⁴. Mieszkańcy kresu byli zróżnicowani co do swego pochodzenia etnicznego. Ludność wołosko-ruska (Łemkowie) przeważała w osadach wiejskich klucza. Natomiast ludność polska była skoncentrowana w obu miasteczkach, Muszynie i Tyliczu oraz w nielicznych wsiach w ich pobliżu²⁵. Ludność żydowska zaś stanowiła nieliczną garstkę ogółu²⁶.

Ludność klucza ok. 1785 r. liczyła 16885 mieszkańców, w tym 14919 (88,36 %) ludności wyznania grekokatolickiego, 1863 (11,03 %) ludności katolickiej oraz 103 (0,61 %) osoby wyznania mojżeszowego. Co daje gęstość zaludnienia ok. 38 osób/km².

Kres muszyński, chociaż położony najdalej od Krakowa i rozpościerający się w górzystym i lesistym terenie - tuż nad południową granicą państwa w południowo-wschodnim zakątku powiatu sądeckiego, był najrozleglejszym pod

względem obszaru i obejmującym, równocześnie największą liczbę wsi kluczem biskupstwa na terenie województwa krakowskiego²⁷.

Położenie geograficzne kresu muszyńskiego warunkowało jego rozwój gospodarczy. Rola gospodarcza klucza w Sądecczyźnie była skromna. Dobra muszyńskie mimo możliwych protektorów w osobach biskupów krakowskich nie były nigdy większym ośrodkiem handlowym czy rzemieślniczym. Ludność zamieszkująca kres muszyński obok pasterstwa zajmowała się też rolnictwem. Z biegiem czasu to ono wysunęło się na plan pierwszy. Nie ulega wątpliwości, że czynnikiem sprzyjającym była - występująca na tym obszarze - średniourodzajna gleba. I tak średnia wartość produkcji z łąnu wynosiła około 50 kóp zboża, a średnia proporcjonalna wartość produkcji w całym kluczu wynosiła z jednego łąnu 53 kopy zboża²⁸. Nieomal w każdej wsi kresu znajdowała się gorzelnia lub browar. Stanowiły one własność sołtysia²⁹. Z uwagi na dużą lesistość terenu ludność w kluczu muszyńskim zajmowała się także obróbką drewna. Rejestr poborowy z 1595 roku wymieniał tutaj 4 piły traczne. Natomiast w roku 1678 mamy wzmiankę o 5 piłach na terenie klucza³⁰.

W roku 1647 powinności i świadczenia mieszkańców klucza uregulował biskup krakowski Piotr Gembicki. Do podatków, które musieli płacić należały: jarząbkowe, żerowe, pobarańszczyzna, tramowe, serowe, pobartne, półtalerkowe, osep oraz młyńskie z sołtysich młynów i garcowe z miast. Pańszczyznę zaś ustalono na jeden dzień odrabiany bydłem i cztery dni pieszo³¹. Gdy porównamy ten zapis z ordynacją dla klucza z 1575 r., możemy zaobserwować, nader rzadki w owych czasach, proces zmniejszania wymiaru pańszczyzny³². Był to swego rodzaju ewenement, w czasie gdy w większości feudalnych dóbr już dawno odbywano pańszczyznę tygodniową³³. W takim stanie rzeczy można pokusić się o stwierdzenie, że na terenie klucza muszyńskiego położenie ludności chłopskiej nie pogarszało się w takim stopniu, jaki jest - w tym okresie - wykazywany dla innych dóbr feudalnych w Koronie.

W myśl ordynacji z 1647 r. do obowiązków ludności kresu należała też obrona granic klucza. Dlatego każdy mieszczanin i kmieć miał mieć swój rynsztunek (rusznicę albo muszkiet, ładownicę, szablę i siekiere), natomiast komornik kosę nasadzoną na sztorc. Sołtysi zaś byli zobowiązani do służby wojskowej w dragonii biskupiej. Biskup przypominał: "*Poddani wszyscy kresu tego ku potrzebie swej prochy, lonty, kule mieć mają, a gdyby niebezpieczeństwo następowało od Węgier, my kul, prochów i lontów dodawać powinni będziemy według potrzeby*"³⁴. Chodziło tutaj, oczywiście, o "rozbójników i opryszków", którzy nachodzili te tereny, by później schronić się za węgierską granicę.

Znajdujące się w niektórych wsiach klucza folusze dobitnie świadczą o tym, że obok rolnictwa i hodowli ludność zajmowała się sukiennictwem³⁵.

Szerokim echem odbiła się na terenie klucza muszyńskiego konfederacja barska. Jej działalność została przyhamowana aneksją Sądecczyzny do królestwa węgierskiego. Z początkiem sierpnia 1770 r. wojska zajęły dobra muszyńskie i znaczną część Sądecczyzny po wsie Dąbrowę, Mogilno i Boguszę. W ten sposób, pod pozorem ochrony przed dżumą, w wyniku wydanego przez cesarzową Marię Teresę rozkazu przesunięto tzw. kordon sanitarny po linię Beskidów. W 1781 r. nastąpiła kasacja posiadłości biskupich w kluczu muszyńskim. W Muszynie utworzono "zarząd domen państwowych"³⁶. Dobra muszyńskie, jako kameralne, należały odąd do skarbu austriackiego. Były przeznaczone na tzw. fundusz religijny. Był on administrowany przez specjalną komisję, w skład której wchodziło duchowieństwo. Fundusz ten służył do pokrywania potrzeb religijnych oraz wypłaty pensji dla duchownych³⁷.

-
- 1 Kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiej św. Wacława, wyd. F. Piekosiński, t. 1, Kraków 1874, nr 89 (dalej: KDKK).
 - 2 Biskup krakowski Paweł z Przemankowa był także spokrewniony z rodem Półkoźców.
 - 3 KDKK, t. 1, nr 89; zob. też: Akta sądu kryminalnego kresu muszyńskiego (1647 - 1765), wyd. F. Piekosiński, [w:] Starodawne Prawa Polskiego Pomniki, t. 9, 1889, s. 323; W. Bębynek, Starostwo muszyńskie. Własność biskupstwa krakowskiego, "Przewodnik Naukowy i Literacki", t. 42, 1914 - 1916, s. 117, 410; S. Inglot, Stan i rozmieszczenie uposażenia biskupstwa krakowskiego w połowie XV wieku, *Badania z Dziejów Społecznych i Gospodarczych*, pod red. F. Bujaka, z. 2, Lwów 1925, s. 59; K. Pieradzka, Na szlakach Łemkowszczyzny, Kraków 1939, s. 10, 52; K. Dziwik, Struktura i rozmieszczenie feudalnej własności ziemskiej w Sądecczyźnie w XV wieku, *Rocznik Biblioteki PAN w Krakowie*, R. 7/8, 1961/1962 [druk 1963], s. 60; A. Rutkowska-Płachcińska, Sądecczyzna w XIII - XIV wieku. Przemiany gospodarcze i społeczne, Wrocław - Warszawa - Kraków 1961, s. 27; F. Piekosiński, *Rycerstwo polskie wieków średnich*, t. 3, *Rycerstwo małopolskie w dobie piastowskiej*, Kraków 1901, s. 98 - 99, 163 - 164.
 - 4 W. Bębynek, op. cit., s. 117; K. Dziwik, op. cit.; por. H. Stamiński, Sądecczyzna w roku 1629, *Rocznik Sądecki*, t. 3, 1957 i odtbitka, s. 27; A. Rutkowska-Płachcińska, op. cit., s. 77.
 - 5 Stefan Inglot wysunął hipotezę, że Władysław Łokietek zabrał ją biskupowi krakowskiemu Muskacie najprawdopodobniej równocześnie z Pławcem w r. 1304 w chwili powrotu do Polski - głównie z powodów strategicznych; zob. S. Inglot, op. cit.
 - 6 W. Bębynek, op. cit., s. 411.
 - 7 K. Dziwik, op. cit.; por. A. Wasiak, *W czasach staropolskich*, [w:] Krynica, praca zbiorowa pod red. F. Kiryka, Kraków 1994, s. 187.
 - 8 W. Bębynek, op. cit.; por. S. Inglot, op. cit.; K. Pieradzka, op. cit., s. 53.
 - 9 Starosty muszyńskiego nie można utożsamiać z urzędem starosty grodowego (który otrzymywał swój urząd od króla i spełniał w jego zastępstwie funkcje administracyjne, sądowe i wojskowe), ale postrzegać go jako funkcjonariusza biskupiego czyli zarządcę

- dóbr - a więc starostę tylko z nazwy; zob. Z. Góralski, Urzędy i godności w dawnej Polsce, Warszawa 1983, s. 199 - 202.
- 10 K. Pieradzka, op. cit.
 - 11 Ibidem; zob. też: W. Bębynek, op. cit., s. 13 - 16.
 - 12 Zakres uprawnień starosty muszyńskiego opisuje: W. Bębynek, op. cit., s. 17 - 21; por. K. Pieradzka, op. cit., s. 33 - 34, 53 - 55.
 - 13 Sąd gajny - sąd prawidłowo otwarty, uprawniony.
 - 14 Zawiłości funkcjonowania oraz tryb postępowania sądowego w kluczu muszyńskim szeroko przedstawił: S. Płaza, Dorazny sąd kryminalny klucza muszyńskiego (XVII - XVIII w.), "Czasopismo Prawno - Historyczne", t. 40, 1988, z. 2, s. 199 - 212.
 - 15 Niepełny poczet starostów w kluczu muszyńskim daje: W. Bębynek, op. cit., s. 21 - 22; natomiast wykaz starostów muszyńskich u: H. Stamińskiego, Muszyna i jej starostwie do roku 1781, "Rocznik Sądecki", t. 12, 1971, s. 51 - 63; uzupełnia: F. Kiryk, Miasta kresu muszyńskiego w okresie przedrozbiorowym, "Przemyskie Zapiski Historyczne", R. 4/5, 1986/7 [druk 1988], s. 24 - 25, przypis 85.
 - 16 K. Pieradzka, op. cit., s. 53.
 - 17 Dotychczasowa literatura na ogół przyjmuje, że kolonizacja wołosko-ruska w Karpatach stanowiła jednolity nurt, w którym obydwaj jego składniki i bałkański i ruski występowały wspólnie. Kilka lat temu wysunięto pogląd, że różnice zachodzące między Wołochami a Rusinami były zbyt głębokie, aby te dwie grupy ludności mogły ze sobą współdziałać na zasadzie wspólnoty interesów; zob. R. Reinfuss, Z badań nad pasterstwem i hodowlą w Beskidzie Niskim, Sprawozdania z posiedzeń Komisji Naukowych. PAN Oddział w Krakowie, t. 30/1 - 2, 1986 [druk 1988], s. 39 - 41; por. idem, Śladami Łemków, Warszawa 1990; zob. też: K. Przyboś, Dzieje Karpat Polskich, [w:] Karpaty Polskie. Przyroda, człowiek i jego działalność, pod red. J. Warszzyńskiej, Kraków 1995, s. 152 - 153.
 - 18 "Muszyńskie państwo nie należało do pierwotnych uposażeń, ale w XVI wieku stanowiło już dość ważny klucz biskupi. Było tam w 1581 r. 65 osiadłości, przypuszczalnie w 12 wsiach". A. Pawiński, Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym, Małopolska, t. 3 (Źródła Dziejowe, t. 14), Warszawa 1886, s. 78.
 - 19 Rejestr poborowy województwa krakowskiego z roku 1629, oprac. W. Domin, J. Kolaśa, E. Trzyna, S. Żyga, pod red. S. Inglota, Wrocław 1956, s. XXXIV.
 - 20 Adolf Pawiński podaje, że: "W XVII wieku około 1662 r. liczone w tem państwie 29 wsi i dwa miasteczka". A. Pawiński, op. cit.
 - 21 S. Płaza, op. cit., s. 200.
 - 22 L. Białkowski, Ziemia Sandecka. Stan jej społeczno-gospodarczy w pierwszej połowie XVI wieku, skreślony na podstawie ksiąg grodzkich sandeckich (z lat 1516 - 1550) i niektórych akt ziemskich czchowskich, "Przegląd Historyczny", t. 12, 1911, s. 230.
 - 23 W. Bębynek, op. cit., s. 123 - 124; por. F. Kiryk, Dzieje miasta w okresie staropolskim, [w:] Historia Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku, praca zbiorowa pod red. H. Barycza, Kraków 1979, s. 73 (tabela). Pawiński podaje dla klucza w XVII w. liczbę ponad 5000 mieszkańców, zob. A. Pawiński, op. cit.
 - 24 M. Adamczyk, Związki dziejowe ziem województwa nowosądeckiego, "Rocznik Sądecki", t. 15/16, 1974 - 1977, s. 21 (tabela).
 - 25 W. Bębynek, op. cit., s. 126; por. R. Reinfuss, Śladami..., s. 13 - 15.
 - 26 P. Rychlewski, Ludność klucza muszyńskiego w drugiej połowie XVIII wieku, "Rocznik Sądecki", t. 28 (w druku).
 - 27 Zob. przypis 19.
 - 28 W. Bębynek, op. cit., s. 211 - 215 (powyższe dane trafnie ilustruje tabela na s. 213).
 - 29 Zob. Wyjątek z przywileju Piotra Myszkowskiego biskupa krakowskiego dla miasta

- Muszyny dotyczący propinacji sołtysiej w kluczu muszyńskim z 3 września 1589 r., [w:] Ordynacje i ustawy wiejskie. Z archiwów metropolitalnego i kapitulnego w Krakowie, 1451 - 1689, oprac. S. Kuraś [PAN Oddz. w Krakowie, Materiały Komisji Nauk Historycznych Nr 3], Kraków 1960, nr 58, s. 53 (dalej: Ordynacje i ustawy).
- 30 W reformie sołectw klucza muszyńskiego, wydanej w Kielcach 2 marca 1678 r. przez biskupa krakowskiego Andrzeja Trzebieckiego, czytamy: "Pił w kresie muszyńskim jest 5, z których skarbowi księcia jmci nic nie idzie, lubo ks. Franciszek Kaliszewicz ekonom postanowił, aby co rok po trzydziestu tarcic oddawali [tj. sołtysi i wójtowie klucza - przyp. P. R.]; w żadnym roku tego nie czynili". Ibidem, nr 105, s. 112.
- 31 Zob. S. Kuraś, Wstęp, [w:] Ordynacje i ustawy, s. IX (tabela).
- 32 Por. Ordynacja dla klucza muszyńskiego z 20 sierpnia 1575 r., [w:] Ordynacje i ustawy, nr 48 (s. 40 - 41).
- 33 Zob. S. Kuraś, op. cit., s. VIII - X.
- 34 Ordynacja dla klucza muszyńskiego z 20 listopada 1647 r., [w:] Ordynacje i ustawy, nr 99 (s. 98 - 104).
- 35 A. Wasiak, op. cit., s. 191.
- 36 Miasta polskie w tysiącleciu, t. 1, Wrocław 1965, s. 651.
- 37 W. Bębynek, op. cit., s. 417; zob. też: A. Diveky, Dzieje przyłączenia miast spiskich do Węgier w roku 1770, Zamość 1921, s. 26. Por. K. Tymbariski, Zarys dziejów gospodarczo - społecznych Muszyny w czasach galicyjskich (1770 - 1918), "Rocznik Sądecki", t. 17, 1982, s. 47 - 70.

Jacek Zaremba

OSTATNI SĄDECKI STAROSTA

"Małachowski Nałęcz Stanisław, wojewoda, prezes senatu Xięstwa Warszawskiego, kawaler orderów i.t.d. zmarł dnia 29. Mca Grudnia 1809 roku. Urodził się 24. Sierpnia 1736. Widziały go seymy kilkakrotnie posłem w swoim gronie. Marszałem seymu konstytucyjnego, dziwił wszystkich szczęśliwą wymową. Wtenczas pokazał wielkość i niezgiętość charakteru swojego, a zarazem prawdziwą miłość dobra publicznego"...



Stanisław Małachowski
wg ryciny A. Oleszczyńskiego

Wspominany tak rzewnie patron ratuszowej sali obrad, urodził się w Końskich, jako drugi z kolei syn ówczesnego kanclerza wielkiego koronnego. Wykształcenie odebrał - jak to się wtedy mówiło - domowe. Już jako mały chłopiec odziedziczył po ojcu stopień rotmistrza chorągwi pancерnej. W wieku 19 lat rozpoczął służbę publiczną jako starosta sądecki: dwudziesty siódmy z kolei, a zarazem ostatni. Sprawował bowiem tę funkcję od 29 kwietnia 1755 do 1 lipca 1785 roku, kiedy to ziemia sądecka została włączona do cesarstwa austriackiego i starostę Małachowskiego zastąpił Kreishauptmann Franz Tschirsch von Siegstetten.



Należcz - herb rodu Małachowskich

"gospodarstwem", czyli administracją licznych majątków, a także... kontynuowaniem procesów z sąsiadami, rozpoczętych przez swego teścia.

Do służby publicznej powrócił w roku 1774 jako marszałek (przewodniczący) Trybunału Koronnego, zapracowując w nim na opinię bezstronnego i nieposzlakowanego sędziego. Głośna była sprawa, gdy zorientowawszy się, że wydał niesprawiedliwy wyrok, z własnej kieszeni zwrócił poszkodowanemu utraconą przez niego, ponoć wcale pokaźną sumę.

Wkrótce, do już posiadanych, doszły nowe godności. W 1776 roku - członek Rady Nieustającej, w 1779 - podstolego koronnego i w 1780 - referendarza wielkiego koronnego. W kontaktach z dworskimi koteriami zachowywał neutralność, prezentując własne, dalekie od koniunkturalizmu zdanie. Nie przeszkadzało mu to jednak zbliżyć się do ks. Hugona Kołłątaja, znanego z raczej radykalnych poglądów. Wynikiem tych kontaktów i rozmów było wydanie przez Kołłątaja w latach 1788–1789 znanego dzieła *Do Stanisława Małachowskiego, referendarza koronnego. O przyszłym sejmie Anonima listów kilka*.

W październiku 1788 roku Małachowski, tym razem jako poseł ziemi sandomierskiej, pomimo intryg rosyjskiego ambasadora, został marszałkiem sejmu, zwanego w naszych dziejach czteroletnim, a także - bardzo często - Wielkim, który dał Polsce Konstytucję 3 maja. Sam Małachowski czynnie uczestniczył w jej tworzeniu, chociaż główną rolę trzeba przyznać tu Kołłątajowi, który dokonał jej ostatecznej redakcji, a także królowi Stanisławowi Augustowi, Ignacemu Potockiemu i Scipione Piattolemu.

Po wybuchu wojny polsko-rosyjskiej 18 maja 1792 roku, jako członek Rady Wojennej, brał udział w przygotowaniach wojskowych. Jednak już 3 lipca zrzekł się udziału w niej, samokrytycznie uznając swój brak kompetencji do sprawowania tak odpowiedzialnej funkcji. Przychylał się wówczas do koncepcji ofiarowania tronu polskiego wielkiemu księciu Konstantemu(!), choć wcześniej forsował myśl (zawartą zresztą w majowej konstytucji), aby po śmierci Stanisława Augusta Poniatowskiego *"dynastyja przysłych królów polskich zaczęła się na osobie Fryderyka Augusta, dzisiejszego Elektora Saskiego"*. Ciekawe, że właśnie tego człowieka postawił na czele Księstwa Warszawskiego w 1807 roku cesarz Napoleon.

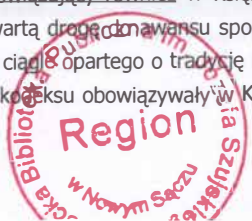
Po przystąpieniu króla do konfederacji targowickiej, Małachowski usunął się z życia publicznego. Zrobił to "trzasnąwszy drzwiami", bowiem na odchodnym - zgodnie z panującymi wówczas obyczajami - wniósł do ksiąg protest przeciw targowicy oraz oświadczenie, że sejm trwa nadal, a więc jakiegokolwiek zmiany polityczne, poczynione bez jego akceptacji, są nielegalne i nieważne.

Po tym akcie nie miał czego szukać w kraju. Wyjechał więc: najpierw do Wiednia, potem do Wenecji, Werony, Rzymu, Neapolu, Florencji. Nie poparł powstania kościuszkowskiego, obawiając się radykalnych zmian *"jakie ta rewolucya i tak dość udręczonemu kraiowi przynieść może"*.

Wrócił jesienią 1796 roku. Nie godząc się z zastaną rzeczywistością, rozważał myśl odzyskania sejmu poza jego granicami. I może to właśnie było przyczyną jego czteromiesięcznego aresztowania. Po zwolnieniu - wrócił "do siebie" i ponownie zaczął gospodarzyć. Idąc z duchem czasu, uwolnił z poddaństwa swych chłopów - jednak niezbyt już nadążając za rzeczywistością, wyznaczył im dość wysoki czynsz, płacąc jednocześnie marniutką dniówkę...

Po klęsce Prus w 1806 roku, na specjalne życzenie Napoleona, przybył do Warszawy, gdzie osobiście, stojąc na czele "deputacji", złożył specjalne podziękowanie cesarzowi. 14 stycznia 1807 roku został mianowany prezesem Komisji Rządzącej Księstwa Warszawskiego, a więc - jak byśmy dziś powiedzieli - premierem. Również to on odebrał w Dreźnie z rąk Napoleona konstytucję nadaną Księstwu, a od października objął funkcję prezesa "rządu", tym razem mianowanego przez króla Fryderyka Augusta.

Miał jednak już 71 lat i nie bardzo umiał przystosować się do nowych czasów. Obowiązujący również w Księstwie tzw. *Kodeks Napoleona*, umożliwiający m.in. otwartą drogę do awansu społecznego, nie mógł oczarować postępowego kiedyś, ale ciągle opartego o tradycję polskiego magnata. To nic, że niektóre paragrafy tego kodeksu obowiązywały w Królestwie Polskim aż do I wojny światowej, a nawet





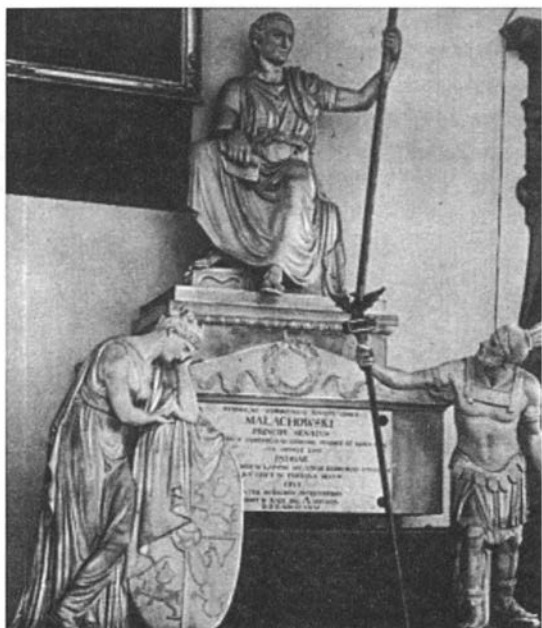
Napoleon nadaje konstytucję Księstwu Warszawskiemu.

Obraz M. Bacciarellego

w okresie międzywojennym. Małachowski pogodzić się z nimi nie mógł i dlatego w grudniu 1807 roku poprosił o dymisję. Na pocieszenie ofiarowano mu prezesurę senatu oraz tytuł pierwszego wojewody. Do końca swych dni jednak swej opinii o prawodawstwie napoleońskim nie zmienił. A zmarł - jak już wspomniano - 29 grudnia 1809 roku, w wieku 73 lat. Pochowano go w podziemiach warszawskiego kościoła Św. Krzyża, a w katedrze Św. Jana wniesiono Małachowskiemu wspólny pomnik, wykonany przez Maksa F. Laboreura według projektu Bertela Thorvaldsena, autora m.in. pomnika Kopernika i księcia Józefa Poniatowskiego.

Znający dobrze ludzi (Małachowskiego również) Julian U. Niemcewicz napisał o nim: *"Był to mąż prawy, cnotliwy, dobru publicznemu poświęcony jedynie. Mierne były talenty jego, przymioty duszy bez ceny"*.

Małachowski żonaty był dwukrotnie. Nie pozostawił jednak po sobie potomków. Jedynie dobrą sławę, która - wbrew opinii Niemcewicza - trwa do dziś.



Nagrobek Małachowskiego w warszawskiej katedrze św. Jana

Jerzy Grupiński

WIERSZE

Jerzy Grupiński urodził się w roku 1938. Autor 12 książek poetyckich – m. in.: *Kształt fali* (debiut, 1969), *Jeszcze noc*, *Wiersze do miłości* (trzy wydania), *Sposób na bezsenność*, *Imię Twoje* (1999). Od 1970 opiekun i wydawca młodych pisarzy w Centrum Kultury "Zamek" (Poznań). Autor recenzji, felietonów, reportaży. Tłumaczony na język grecki, rosyjski, serbochorwacki, niemiecki. Członek zarządu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Poznaniu. Redaktor "*Protokołu Kulturalnego*" wydawanego przez "Zamek".

Ciemność

*I tak go widzę – jak mówi
Oto siedzi w gęszej skórcie
oblany zimnym potem
na poboczu asfaltu
między zaparowanymi szybami
mijany przez samochody
I wciąż nie może Nie potrafi
przypomnieć sobie początku
Tego słowa na głos
On któremu teraz
nikt nie pomoże
Nawet stare wypróbowane sposoby
wołania obrazów pamięci
Nikt się nie zatrzyma
Dopóki usta nie poruszą się
przez lekką ciemność i ciężko
i same nie zaczną mówić
Ojcze nasz*

Wiersz wiosenny

*Śnieg i śnieg
a już poruszył się obrócił
wbity na promień
brzuch Matki Ziemi
Cienie obłoków
zachwyty westchnień
na zielonych polach
jak obrusy
na stołach Pana
Ta chwila
w której słyszeć
krzyk noworodka
i suchy szelest
siwych włosów
Miłosny spazm
i krzyk konania*

*Kwiat jabłoni
jeszcze w pąku ostrym
a już śpiewa cicho
pod nawisem śniegu
Dotknięty śliną Stwórcy
oddechem – stań się – owoc
Na jednej gałęzi księżyc
na drugiej słońce
Jakie to oczywiste
niepojęte – wołałem
pośpiesznie zapisując
obraz za obrazem
Jakbym czernił się wyprostowany
między literami Księgi
i stał
między kartami objawień
z wysoko uniesionymi rękami*

Cytat

*Ściana trzcin
uderzona nagłym wiatrem
Dalekiej burzy
błysk grzmot i pomruk
W trawie iskra jarzębiny
Tętent Jehowy cwałującego
na grzbiecie cherubina*

Nokturn drugi

*Wreszcie przychodzi noc
cicho i tępo jak ból serca
Pod powieki
pod język puchnie wpełza
Wiąże kamień – owoc
Siada na piersi
Śni sen – jeden wyraz
jak błysk
choć dawno już
wyschło źródło
Pieśń długą przeciągłą
Wysoko gwiazdę śpiewającą
Karła wyobraźni Potęgę*

*I głos ten rośnie
rozlewa się światło
Ciało Boga Miłości ciało
której nigdy nie dotknie
ani gwóźdź ani krzyż*

Jeziro – hymn

*Wybrany
pływałem niesiony lekko
w jego oddechu
Śmiałem się wołając – widzę
widzę trzy promienie trójkąta
i kropkę oka
Klaszcząc
biłem rękami po wodzie
Kurtyna
co za widowisko
Jaka muzyka
Nie ukryje się
przede mną Pan
Przed uderzeniem serca
Odchodzą fale
i wracają do moich rąk
opowiadają Pana
jego obietnice
Majestat
jastrząb jak zmarszczka
z jego czoła
Słodki w ustach
szept tataraku
Kolory jarzębin w tęczęch*

*Spojrzał
spojrzał na mnie Pan
w jego jestem źrenicy*

Wiersz – świerszcz

*Nad rzeką
gdzie most był drewniany
może stoi tam jeszcze
chłopiec z leszczynowym kijem
w swe odbicie
i splawik zapatrzony*

*Może dzwoniąc łańcuchem
pasa się jeszcze franciszkańskie
białe kozy nad Wartą
i kołuje nad miastem
dzwon klasztorny i dzwon farny
jakby ścieliły gniazdo*

*Wciąż
przeze mnie płynie rzeka
i stoi dom
na gęstych świerszczach*

Pyta dziecko

*Dlaczego w lustrze
wszystko widać
a samego lustra
– nie?*

Sypiąc iskry liści

*Choć
ścięto już drzewo
w powietrzu niebieskim
brzoza wciąż tańczy
w wierszu*

Wiersz do ściany

*Papier i pióro
Czy to ich szept
zbudził znów
krok twój
korniku?*

Apostrofa

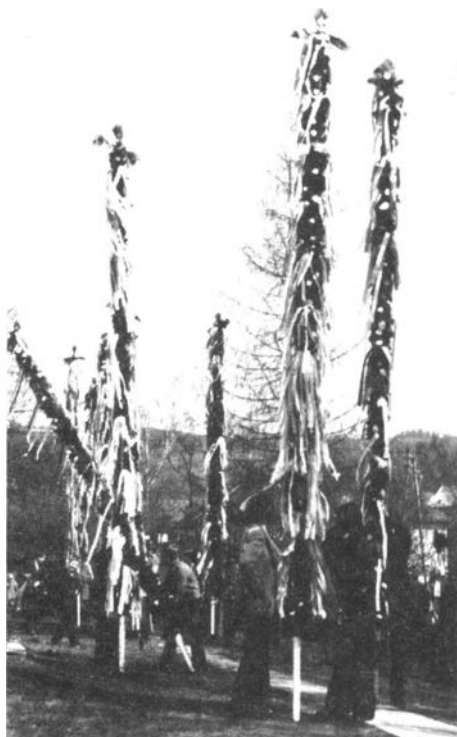
*Ocal
zasłoń mnie skrzydło
Ołowiana litero
podnieś*

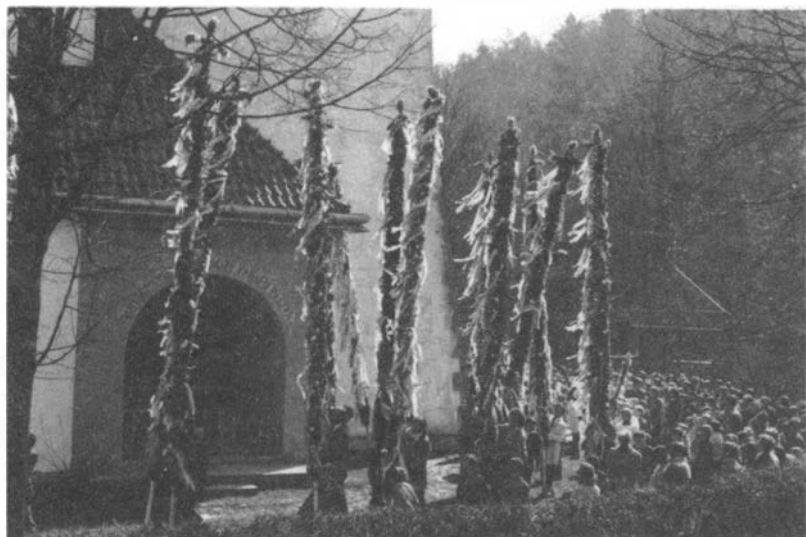
*Nigdy nie uwierzysz
– przyjechałem
aby usłyszeć deszcz
bijący w blaszane parapety
i odprowadzić tę kroplę
która czekała
na moje oczy*

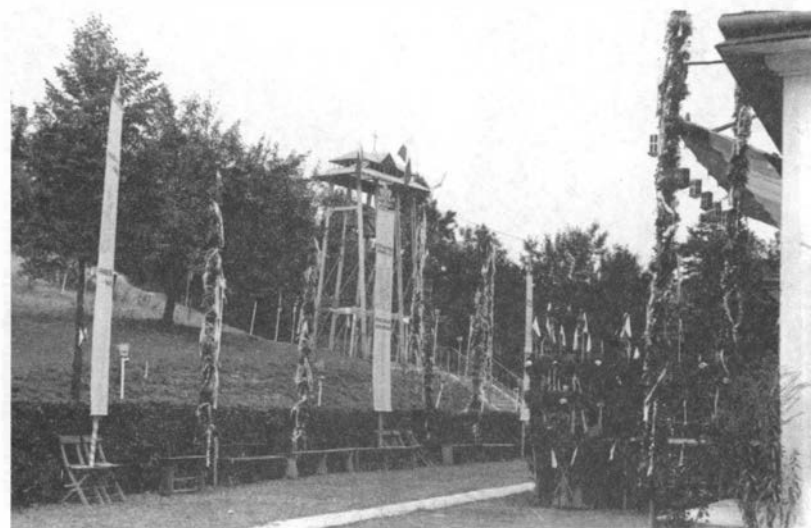
Bolesław Łazarz

WIELKANOCNY PASZYN

Okres wielkanocny w Paszynie ma swój szczególny urok pozostając wdzięcznym tematem fotograficznym. Poniższe zdjęcia, pochodzące z lat sześćdziesiątych, dokumentują piękną tradycję związaną z niedzielą palmową w tej miejscowości.







Władysława Lubasiowa

ŚWIATŁA OBRAZU I CIENIE

*Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy:
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić;
I przeszłość, jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladyłych twarzy, ku słońcu odwrócić,*

*I ścigać okiem światła obrazy i cienie,
Jak lśniące rozprysniętych mozaik kamienie.*

Juliusz Słowacki "Godzina myśli"

Wstał pogodny, niedzielny poranek. Po wrześnieym deszczu rozświecił się ósmym dniem październik, mgła powoli odsłaniała góry i snuła się po dolinach, po parowach, jak resztki dymu dogasającego pożaru.

Mijał tydzień od upadku powstania w Warszawie, przygotowania nasze do akcji "Burza" nie udały się do końca, powstanie nie objęło całego kraju. Gorycz zalewała serca "chłopców z lasu", skazanych tylko na akcje sabotażowe i dywersyjne. Chcieli iść na pomoc walczącej Warszawie, te ponad pięćset kilometrów przez naszpikowany doskonale uzbrojonym nieprzyjacielem obszar okupowanego kraju – nie wydawało im się niemożliwe do pokonania. Młodość ma swoje sny i – nierozagę.

W "kasynie oficerskim" – jak z przekazem nazywaliśmy szałas pasterski, siedzibę dowódcy oddziału partyzanckiego, można było posłuchać, jak pocieszenia, *Chorału* Kornela Ujejskiego: *z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do Ciebie, Panie, bije ten głos...* Z Londynu rozpoczynano teraz nim każdą audycję dla uciemionych rodaków, dla Warszawy, bez pomocy, utopionej we krwi i ogniu.

Wysłałem z naszej "meliny" na Polankę do Izworskich po chleb dla chłopców – uciekinierów więziennych.

Nagle w tej ciszy coś rozterkotało się w oddali, jakby daleki pogłos silników samochodowych. Niegłośnie to było, przytłumione, jednak we mnie zaraz zabrzęczało niepokojem.

U Izworskich na środku izby wojskowe buty, dalej – na zydłu rzucona bluza wojskowego munduru – to "Szofer" właśnie wrócił z akcji i zmywał z siebie trud bojowy.

– Szofer – powiedziałam – tuś Szofer, a tam coś jakby... – i zwierzyłam się ze swoich obaw.

– Strach ma wielkie oczy - on na to... – i po drabinie wdrapał się na strych na zasłużony odpoczynek.

Czekałam na Izworską, aby dała mi obiecany chleb – a tu ona nagle śmiertelnie blada wpadła do izby i wydyszała:

– Idą od strony Łomnicy... idą... drogą na Rechmanówkę... Byłam w kościele. Boże... tyle aut, tyle aut... i psy prowadzą... Wyprzedziłam ich – i z przerażeniem spojrzała na bluzę mundurową "Szofera".

Lecz on już zbiegł ze strychu i rozkazał:

– Zabierz chleb i siedźcie w "melinie" do ponownego rozkazu, po drodze mundur ukryj w krzakach.

Izworska torbę z chlebem wetknęła mi w rękę – a ja mundur "Szofera" na ramię, aby go wetknąć w naszą umówioną skrytkę w wykrocie starej, powalonej ongiś jodły – i w pośpiechu do "meliny", gdzie powtórzyłam rozkaz "chłopcom", aby siedzieli cicho aż do odwołania alarmu – chleb oddałam, a sama prysnęłam w las... Nawet nie zauważyli mojej "dezercji" – tak byli zaskoczeni. Ja zaś rozumowałam tak: oni cudem uciekli z więzienia (Jurek, Władek i Mietek), razem z przekupionym strażnikiem korzystając z lipcowego zamieszania wśród okupantów po zamachu na Hitlera... Mnie, od dwóch miesięcy poszukuje gestapo i tylko dzięki "Doktorowi" (ojcu Jurka) udało mi się wydostać z miasta. I mam tu teraz tak siedzieć zamknięta bez możliwości manewru? – Nie. Co innego w lesie, tam wszystko się widzi i słyszy – kalkulowałam.

Przebiegłam więc pagórek jeden i drugi, przeskoczyłam kilka strumyków i, rozejrzawszy się czujnie, ulokowałam się na zboczu w wygodnym zagłębieniu wymoszczonym puszystym mchem. Wokoło była cisza. U stóp miałam zarośnięty chaszczami potok, zaś za sobą kawałek wspaniałego lasu, poza którym prześwity-

wała jakaś polana, bo jasno błękitniało niebo między pniami drzew. Uczono mnie wprawdzie jeszcze w harcerstwie, że jeżeli w pobliżu zaznacza się skraj lasu, należy przed odpoczynkiem przekonać się, co znajduje się za tym lasem, lecz byłam taka zmęczona, a kotlinka wygodna, że zaraz położyłam się i chyba musiałam się zdrzemnąć. Lecz nagle głośny trzask łamanych gałązek, jakby czyimiś dobrze obutymi i ciężkimi stopami, natychmiast doprowadził mnie do przytomności. Ostrożnie wysunęłam głowę zza krzaka paproci i...

Szli tyralierą z automatami wymierzonymi w las. Na tle tego bardzo błękitnego nieba, między smukłymi pniami jodeł, ostro rysowały się sylwetki ludzi i psów. Nie namyślając się ani chwili wyskoczyłam z kotlinki i wspaniałym susem wylądowałam w potoku. Zaraz też wpadłam w gęsty młodnik i już spokojna o swoją głowę, poczęłam się wspinać po przeciwległym zboczu, nie przejmując się wystrzałami skierowanymi w moją stronę. Wiedziałam przecież, że oni nigdy nie zapuszczają się na bezdroże, odważni tylko na otwartych szlakach.

Gdy wdrapałam się na taką wysokość, aby można było dojrzeć co dzieje się vis a vis – odwróciłam się. I to tam, za tym prześwitem drzew, gdzie nie chciało mi się sprawdzić co się znajduje, była polana a na niej dom... Właśnie go otaczali: serie z automatów... granaty... Szum drzew, bo właśnie zerwał się wiatr – i tylko jeszcze dojrzałam te płomienie ognia, które otoczyły dom i wystrzeliły w niebo.

Co robić?... Co robić?... – pomyślałam w nadchodzącej znowu panice. I nagle chłód i rozsądek. Odwróciłam się, aby poszukać ścieżki, jakiegoś wyjścia z tego gąszczy i uciec jak najdalej od oblawy. Ale czy ja wiedziałam, gdzie oni pójdą, no i przecież w ogóle nie wiedziałam, gdzie się znajduję...

Zaczęłam więc w skołotanej głowie układać topografię tego kawałka Beskidu Sądeckiego, po którym przyszło mi się tułać.

*

Dwa miesiące temu wyprowadzono mnie z Nowego Sącza. Było może pół godziny przed dziesiątą, tuż przed godziną policyjną, kiedy przyszli do mnie na ulicę Krańcową 8, gdzie się ukrywałam: "Szofer" (Zbigniew Hławati), Władek (Władysław Stendera) i Jurek (Jerzy Kardaszewicz). Tylko "Szofer" posiadał broń, stare niemieckie parabellum, któremu chyba zbyt nie można było ufać. "Szofer" więc ubezpieczał, tym bardziej, że jako lwowiak nie znał terenu (przyszedł niedawno z Węgier), a prowadzili pozostali "chłopczy". Szczególnie dobrze znał tę okolicę Jurek, jego ojciec "Doktor" już z tym terenem trzy lata był związany. Dziwiłam się jednak, że pozwolono im wejść do miasta; dla nich, uciekinierów z więzienia w Tarnowie, było to przecież niebezpieczne.

Najpierw przeszliśmy kilka kilometrów krzakami nad Kamienicą, której rozlewisko, płytkie, ale szerokie przebrnęliśmy gdzieś między Zawadą a Nawojową, a potem w górę w stronę Ostrej. I szybko, bo chłopcy ponaglali, mimo, że silny wiatr południowo-zachodni wiał nam prosto w twarz, a ja byłam w nie najlepszej kondycji. Ponad tydzień w kryjówce, bez ruchu, o byle jakim wyżywieniu, musiało przecież zrobić swoje. Jednak nie mogłam zbyt się rozczulać, gdyż "przewodnicy" poganiali, od czasu do czasu podrzucając mi kostki cukru, w które dla mnie zaopatrzył ich "Doktor", wiedząc dobrze jak muszę się czuć. Przekonywano mnie, że trzeba jak najszybciej dostać się w lasy, gdzie gospodarują partyzanci, że musimy przed wschodem słońca znaleźć się na Pisanej Hali.

I tak się stało. Odpoczywaliśmy patrząc jak słońce powoli opromienia góry. I milczeliśmy. Zbyt wiele każdy z nas niósł bagażu przeżyć ostatnich tygodni, abyśmy mogli o tym gadać, abyśmy mogli o czymkolwiek mówić. Porozumiewaliśmy się krótkimi zdaniami i na tym koniec. I tak pozostało w czasie całego naszego pobytu w lesie. Nikt z nas nie wracał do przeszłości. Zresztą, czy miałam powiedzieć Jurkowi, że jego matka i szesnastoletnia siostra, harcerka – zostały rozstrzelane, o czym dowiedziałam się od przekupionego wódką strażnika więziennego Pajora w trakcie przekraczania bramy więziennej w zastępstwie Jagi Wolskiej i z jej polecenia przy dostarczaniu żywności więźniom, co było możliwe w ramach szczupłych uprawnień, które posiadał Polski Komitet Opiekuńczy przy RGO.

Jurek nosił w sobie nadzieję aż do kwietnia 1945 r., do dnia ekshumacji grobów więźniów rozstrzelanych na rdziostowskim wzgórzu. Jechaliśmy wówczas dorozką: Jurek, ja i Andrzej (mój przyszły mąż). Pamiętam, że wtedy, już na ulicy Długosza powiedziałam:

– Jurek trzeba wziąć jeszcze jedno prześcieradło.

Nic nie odpowiedział, tylko zawróciliśmy po to prześcieradło. I nigdy, nigdy później nie rozmawialiśmy o tym.

Pisana Hala. Ileż to razy w ciągu tego czasu – aż do chwili kiedy to wszystko wspominał – ocierałam się o to miejsce.

Moje rozważania "topograficzne" niewiele mi dały. Nasza "melina" musiała być o kilka kilometrów od Łomnicy. Polanka również niezbyt daleko skoro Izworska do kościoła schodziła do Łomnicy. I na tę Polankę chciałam więc wrócić, bo tylko tam mogłam dowiedzieć się jak wygląda moja sytuacja, "meliny" "chłopców", oddziału "Tatara" i kpt. "Hali".

Wciąż nie wiedziałam na pewno, w którą stronę iść, zdałam się więc na wyczu- cie i łut szczęścia. Bez pośpiechu poczęłam wędrować dalej. Słońce przypiekało ni- czym w lecie, podniosłam ku niemu twarz, jakbym była, ot, na wycieczce i chciała się opalić. Zagryzłam wargi, bo nagle z boku poczęły wciskać się straszne obrazy: płonąca chałupa, chłopcy odcięci, osamotnieni... bezbronni Izworscy na Polance...

Powoli żołądek zaczął upominać się o swoje prawa: poczułam głód – że też nie zjadłam czegoś rano, to właśnie skutki zwlekania ze śniadaniem. U Izworskich za- miast "konwersacji" z "Szoferem" powinnam była coś zjeść, choćby kawałek chle- ba... Mogłam jednak przynajmniej zaspokoić pragnienie, wody w potoku było do- syć. Strumyk szemrał po kamieniach jak gdyby nigdy nic. Naprzeciw mnie, po płą- skim kamieniu chodziła górska pliszka, która zaczęła biegać śmiesznie, smukła, gib- ka, z rozedrganym długim ogonkiem. Promienie słońca ześlizgiwały się z jej gład- kiego popielatego grzbietu i raz po raz rozświetlały podbrzusze. Zrobiło mi się raź- niej. Zawinęłam rękawy granatowego sweterka, pochyliłam się nad tafelką wody i ugasiwszy pragnienie chwyciłam zwisające nad strugą gałązki kruszyny, aby wdrapać się na dość strome nadbrzeże. Jeszcze raz powtórzyłam w duchu mocne postanowienie: muszę otrząsnąć się z tej całej wojny, jak ze złego snu – inaczej nerwy mi wysiądą i serce, i pozostanę tu pod krzakiem.

Ale – jak dalej iść... którądy? Popatrzyłam na pnie drzew: przed oczami miałam zielono-szarą omszałość... idę zatem na południe i tego kierunku będę się trzy- mać – postanowiłam. Kłębowiska jeżyn ukryły jeszcze kilkanaście późno dojrzałych jagód, nie były zbyt smaczne, straciły już jędrność i zapach, jednak zaostrzyły ape- tyt, i ani się spostrzegłam jak słońce poczęło chylić się ku zachodowi. Trzeba było przysposobić sobie miejsce na nocleg. Jedno wiedziałam na pewno – nie będę szu- kać żadnych chałup. Będę spać tu w lesie, i to w takim miejscu, żeby mnie niespod- zianie nie mogła zaskoczyć żadna żywa istota.

Spadzisty, kamienisty stok miał pośrodku małą wysepkę zieleni. Wymarzone miejsce. Gdyby ktoś chciał podejść, obojętne, z dołu czy z góry, nie mógł uczynić tego bezszelestnie. I ja, chociaż tak ostrożnie schodziłam, zepchnęłam kilka kamie- ni, które z łoskotem pomknęły w dół, ku jeszcze jednemu potokowi. Występ był po- kryty skąpą trawą i mchem, parę jodełek tworzyło złudzenie zasłony. Ułamałam parę gałązek, umościłam legowisko i wzięłam jeszcze kilka, aby się przykryć. Na sobie miałam tylko popielatą płócienną bluzę, cienki granatowy sweterek i płócienną spódnicę. Masywne sznurowane buty i wełniane skarpetki zabawnie wy- glądały na gołych nogach. Na szczęście noc była wyjątkowo ciepła jak na początek października, a ja "kocham" spanie, i to w każdej sytuacji. To jest wszystko, co

mam najprzyjemniejszego w życiu. We śnie mogę uwolnić się od niemiłej mi rzeczywistości, mogę też przebywać z drogimi mi, a nieobecnymi w danej chwili na jawie osobami – lub też nie żyjącymi już.

*

Mogłam spać w różnych nie sprzyjających mi okolicznościach. Pamiętam, w trzydziestym dziewiątym roku, podczas ucieczki przed Niemcami, ustępujące wojsko polskie zabrało nam konie od bryczki, aby umieścić na nich rannych. Pozostałam wtedy z matką i rodzeństwem w jakiejś wsi kilkanaście kilometrów od Sanu, za którym powinien znajdować się mój ojciec. Kilka godzin stałam wówczas przy szosie z siostrą i dziewczętami z tejże wsi, podając zmęczonym żołnierzom wodę, chleb i śliwki, które tak pięknie w tym czasie obrodziły.

Jakże okropnie wyglądała ta droga: tumult, zgiełk, napór uciekinierów raz po raz łamiący szeregi wycofującego się wojska. A największe zamieszanie... to ci górale... Spadli na posuwającą się w tym upale i tumanach pyłu kolumnę, jak postrzelone jastrzębie; cuchy na ramionach łopotały, błyskały siekierki ciupag...

– Uciekajta dobre ludzie – wołali – Miemce idom... palą, zarzynają!

A potem przypadli do jakiegoś kapitana jadącego na koniu – właśnie wszystko stanęło, bo coś poplątało w taborach – a oni w krzyk, żeby ich do wojska zabrali, żeby im dali karabiny, bo nie chcą żeby ich Hitler zadziobał jak kuropatwy...

Oficer tylko kiwał głową, jakby na wszystko się zgadzał, nie miał już widocznie sił na gadanie i tłumaczenie, Zresztą, co on tam mógł, zapewne odetchnął, kiedy kolumna ruszyła, a wtedy jedna z dziewcząt zawołała:

– Panowie, to tak nas zostawiacie?!

Kapitan podniósł rękę i odkrzyknął:

– Będziemy bić się na linii Sanu! Będziemy bić się...

Lecz nic już słyhać nie było, bo nowe zamieszanie powstało między forszpanami: więc tylko pokrzykiwanie na konie i cichy jęk rannych. I my znów z tymi wiadrami do przodu... Lecz już szybciej... coraz szybciej z toczącą się ławicą na wschód.

Wieczorem wjechały pierwsze czołgi hitlerowskie. Z okna chałupy, gdzie nas przygarnięto, widziałam mrowiące się zastępy najeźdźców. Zwaliłam się wówczas na kupę słomy nakrytą derką, którą przygotowali nam gospodarze na legowisko i pomyślałam: rano niech się dzieje co chce – teraz śpię.

I też, na tym występie skalnym pośrodku kamienistego zbocza, wkrótce zasnęłam. Tylko, że sny miałam niespokojne. Ciągłe za mną chodził gestapowiec Domański i wołał: Władzia, Władzia... A dlaczego po imieniu? – Otóż, gdy melinowałam w Nowym Sączu i czekałam na jakiś kontakt, aby mnie wyprowadzono z miasta w góry, dotarła do mnie wieść przyniesiona przez moją ciotkę, Marię, że gdy po mnie przyjechało gestapo do naszego mieszkania znajdującego się wówczas przy ul. Kunegundy 16 – to Domański przyszedł po mnie. On to bowiem pytał się napotkanej na schodach sąsiadki – czy Władzia Szkaradkówna jest w domu... Odpowiedziała naturalnie, że nie wie – bo nie ma pojęcia gdzie mieszkam. Chodził więc za mną w tym śnie gestapowiec Domański – biała grzywa opadała mu na czoło, przysuwał się i przysuwał z ogromnym kluczem od bramy więzienia, którą chciał zamknąć, abym już nigdy nie mogła wyjść. I paniczny strach, aby nie dostać się w te łapy... Nie chodziło nawet o śmierć, nie zdołałam się jeszcze tak bardzo do życia przyzwyczaić. Tylko o godność. Każdy powinien mieć prawo do śmierci godnej człowieka. A nie w wyciu zwierzęcym i ekskrementach, za granicą wytrzymałości bólu. – A on już, już łapał mnie za szyję. Zimne oślizgłe palce. Chwyliłam jeden z nich, oderwał się jak gruba, biała glista. Krzyknęłam ze wstrętu i otworzyłam oczy. Nade mną wisiał wysoki księżyc i obojętnie patrzył na świat, a obok mnie na cetynie kurczył się i wyprężał granatowo-niebieski ślimak. Na szyi czułam jeszcze jego śluz, to on widocznie straszył gestapowską ręką wędrując po moim ciele.

Nie mogłam już zasnąć do rana, tym bardziej, że pochłodziłam, jak zwykle przed świtem. I powróciły te wszystkie myśli, tak natarczywie odpędzane w dzień. Ponieważ jednak zwykle wstający ranek i słońce napawają otuchą – tak i teraz szybko pozbyłam się przygnębienia. Drzewa szumiały łagodnie i brzęczały utrudzone harówką drobne górskie pszczoły. Pozbierałam się z mojego legowiska i opuściłam nocne przytulisko. Nie spieszyłam się, chciałam podejść na Polankę dopiero o zmierzchu. Chciałam podkraść się nie zauważona, bo przecież nie wiedziałam czy obława zesła już z gór. Po drodze napotkałam rosnącą nad wykretem powyginaną jarzębinę-mąkinię o owocach smacznych, przypominających maleńkie szkarłatne jabłuszka zebrane w kielichu. Byłam bardzo głodna, więc wyszukałam wszystko, co da się jako tako żuć. Wtuliłam się w mrok lasu unikając naświetlonych wyrębów, błyszczących świeżymi pniakami pozostałymi z wyciętych drzew. Bałam się napotkać ludzi. Wprawdzie w lesie trwała niezmacona cisza: nie słyszałam ani zgrzytu pił, ani stukotu siekier – lecz to także niepokoiło... Gdzie drwale? Czy zagarnęła ich obława, czy z lęku przed nią w ogóle nie przyszli?

Słońce wlokło się po niebie powoli, co spojrzałam, to ono jakby jeden krok zrobiło, jakby przylepiło się do jaśniejącego zenitu. Obliczałam w myśli: jeszcze jeden krok, jeszcze jeden pagórek... Nie ma się co spieszyć.

Wyciągnęłam się pod drzewem znowu twarzą w niebo... Z prawej strony liście buków zalewała pozbawiona światła sepia – z lewej słońce przebijało je na wskroś i pęczniały złotem i czerwienią. Wierzchołkami kołysał wiatr i wypadały z półmroku rozczapierzonymi wiechami w oślepiający błękit uciekający coraz wyżej i wyżej. Nad moją głową utworzyło się jakby jezioro: oko wszechświata stalowe i zimne. Wydawało mi się, że spadam w jakąś przepaść bez dna i wsysa mnie ta sina głębokość zahipnotyzowaną i bezwolną. Dostałam zawrotu głowy i ścisnął mnie za gardło taki strach, że ostatkiem woli szarpnęłam się i odwróciłam twarzą do ziemi, czepiając się rękami mchu.

Słońce powoli zaczęło chylić się ku zachodowi, gdy w prześwicie drzew zobaczyłam gontem kryty dach jakiegoś domu. Podeszłam bliżej, pomyślałam, co mi zaszkodzi poprosić o kawałek chleba, powiem, że uciekałam od okopów i idę do znajomych do Łomnicy. Te ucieczki ludzi siłą zapędzonych do kopania pospiesznych "fortyfikacji" nie zdarzały się znowu tak rzadko, po prostu na ich miejsce szukano innych. Okupant spieszył się, front stanął na Sanie, ale w każdej chwili armia radziecka mogła ruszyć dalej.

Na ganeczku schludnie wyglądającego domku stało dwóch mężczyzn. Przemogłam strach i poprosiłam o kawałek chleba, tłumacząc moje najście tak jak postanowiłam wcześniej. Mężczyźni jakby zawahali się i może nawet byłoby skłonni spełnić moją prośbę, ale na ganku pojawiła się kobieta i w krzyk, że ich spala, że wystrzelają, jeżeli udzielą mi pomocy. Jeden z mężczyzn próbował jeszcze wybrnąć z niemłej sytuacji i nalegał żebym podała nazwisko kogoś znajomego w Łomnicy. Ale ja przecież też nie wiedziałam kim oni są, więc żadnego nazwiska nie wolno mi było podać. Machnęłam tylko ręką i szybko zaczęłam zbiegać z pagórka, po drodze wyrwywając dwa karpiele. Trudno, postanowiłam, to mi musi wystarczyć na razie.

Zmierzczać już zaczynało na dobre, gdy wydało mi się, że ten potok, który teraz przekraczam, to jest właśnie "nasz" potok, zaś za tymi chaszczami, na jego dość wysokim i stromym zboczu jest na pewno "nasza" Polanka.

Pierwszy mój krok, gdy wychyłęm się z krzaków, był potknięciem. Podniosłam się macając rękami dookoła i, ku mojemu przerażeniu, wyczułam nadpalone belki. Uniosłam głowę wyęzając wzrok: w wyłomie czarnej ściany lasu prześwitywało, czerwonawe, w dogasającej wieczornej zorzy niebo, i na tle tego sponsowiałego jaśniejszego skrawka sterczał czarny kikut komina za znikomą resztką wiązań dachu. Zanim uświadomiłam sobie, że przecież natrafiłam na zgłiszcza jakiejś chał-

py, wężozem targnęła salwa karabinowa, za nią druga, trzecia... W tym momencie zdołałam znowu wycofać się w krzaki – i... w nogi. Teraz już nie dbałam o żaden kierunek, byle jak najdalej od tych zgłiszcz i od tych strzałów.

Ściemniło się już zupełnie, ni stąd ni zowąd nadciągnęły chmury i zaczął siać deszcz. Z daleka, na wyższym od innych pagórze, zobaczyłam zarysy jakiegoś domu. Byłam głodna, miałam przemoczone buty i było mi zimno. Już wszystko jedno – pomyślałam – niech dzieje co chce.

To nie była chata, ale jakiś szałas pasterski, cały, niespalony, ale zamknięty na skobel pokaźną kłódką. Trochę się uspokoiłam. Widocznie obława tędy nie szła, bo zawsze przy obławie paliły wszystkie koliby. Przy szałasie stały duże stogi owsa. Zakopałam się w słomę i postanowiłam przeczekać do rana.

Nie mogłam zasnąć. I zaczęłam rozmyślać o wszystkim, co doprowadziło mnie do tego lasu. Zaczęło się to od "Jagi", Jadwigi Wolskiej, nie – przecież od "Babci", Anny Sokołowskiej, mojej nauczycielki polskiego w gimnazjum ss. Niepokalanek, gdzie otrzymałam świadectwo dojrzałości... A skąd gestapowiec Domański znał moje imię? – Tak. Widziałam go przecież na gestapo, gdzie w całej swojej naiwności poszłam z córką "Babci", Haliną Sokołowską na jej prośbę. Tak, obydwie byłyśmy niemądre. Hala wyobrażała sobie, że dowie się za co matkę aresztowano i w ogóle, co się z nią dzieje, gdzie jest. Naturalnie nie dowiedziałyśmy się, ale wypuszczono nas i nawet nie dostałyśmy po pysku. "Jaga" mnie wówczas skłęta, bo powoływałam się na RGO i Czerwony Krzyż. Anna Sokołowska dostała się na listę zakładników i nie przeżyła wojny.

Albo ten łącznik, ostatni, który dotarł do mnie z Komendy Obwodowej naszego rejonu. Wydawało mi się, że był pijany, plótt coś niesamowitego, że zatrzymało go gestapo, ale pocztę z KO mi oddał... Naturalnie papier ten zniszczyłam, ale przedtem przeczytałam treść. Był to rozkaz na którąś z placówek, tyczył przygotowań do akcji "Burza". O tym podejrzanym łączniku i zniszczeniu meldunku zdołałam jeszcze powiadomić Komendę Obwodową, ale w domu już nie nocowałam.

A teraz, rano, już zdecydowana i spokojna postanowiłam zejść do Łomnicy. Byłam zbyt głodna i przemoknięta, aby się jeszcze dłużej zastanawiać. Wiedziałam, że mnie jeszcze stać na ostrożność, aby nie narazić nikogo. I tyle przecież miałam rezonowania, aby wiedzieć, że stąd każdy potok płynie ku Popradowi, przeto każdym zejdem do osiedla.

Niestety i tu mogłam się mylić. Nocowałam tuż pod Łabowską Halą (o czym naturalnie wówczas nie wiedziałam) i gdybym poszła w przeciwną stronę, byłby to potok, który wpada do rzeki Kamienicy i wtedy znalazłabym się na terenie gdzie rezydowali własowcy, wcale nie lepsi od gestapo.

Lecz tym razem wybrałam dobry kierunek.

Gdy dotarłam do leśnej drogi, prowadzącej prawdopodobnie do Łomnicy, przycisnęłam się w krzakach, postanawiając przed ujawnieniem się zasięgnąć języka. Właśnie przechodziła jakaś kobiecina z koszyczkiem grzybów, przestraszona bardzo, gdy tak niespodziewanie wypadłam z lasu. Lecz to właśnie od niej dowiedziałam się, że górach już spokój, a Izworskich na Polance obława w ogóle ominęła, szli bowiem szlakiem turystycznym prosto ku Rechmanówce. Wtedy szybko, szybko, ostatkiem sił, pobiegłam na Polankę w kierunku wskazanym przez kobietę. I kiedy zobaczyłam dach chałupy, zakręciło mi się w głowie, ale podtrzymałam mnie czyjeś ręce – to Izworski, który pasł kozę na skraju łąki.

A potem wesoło trzaskał ogień pod kuchenną płytą, gospodyni suszyła moje buty, gotowała mleko, a smarując chleb masłem upominała:

– Tylko trzeba jeść po troszeczku i bardzo powoli po takim poście...

Moczyłam nogi w gorącej wodzie, a oni pogadywali:

– Tu wszyscy szukają Władzi, i "Doktor" i ci od kapitana "Hali", i z oddziału "Tatara" nawet. Ktoś podobno widział, ktoś podobno słyszał, żeś wśród strażów skakała w potok i wołała «Jezus Maryja».

Izworska coś jeszcze mówiła, lecz tu wtrącił się jej mąż:

– E... stracha mieli, że Władzia ich sypnie, jak jom złapiom i do gestapo zawłokom. Poszli se hań ku Pisanej na nowe leże.

– Nie gadoj bele co – skarciła męża Izworska – wszyscy się sumowali, bo Władzie lubiejom. Znów od rana hukają po lesie.

I rzeczywiście. Kiedy po dwóch godzinach podchodziłam do kryjówek "chłopców", zatrzymałam się na skraju pagórka, bo właśnie po przeciwnej stronie potoku, stromą ścieżką nad urwiskiem szli – Władek, Jurek i Mietek... i darli się na cały głos aż echo powtarzało: Kozaaa!!!

Tej "Kozy" – to im darować nie mogłam. Na początku mojej konspiracyjnej drogi obrałam sobie pseudonim poetycki i romantyczny: "Eloe". Nie przyjął się

jednak, najczęściej używano mojego imienia jako pseudonimu, lecz kiedy partyzanci szli do Sącza, aby mnie przyprowadzić, "Grajek" (Olek Siemiradzki), dopytywał się i dopytywał, po co idą... "Doktor", żeby się odczepił – powiedział, że po kozę. On to wziął dosłownie i na serio, i ze "świńskiej kamy" przyprowadził dwie, autentyczne kozy. Ale silniejsza szybko zerwała się z postronka i poszła w las, drugą zaś "Doktor" dał Izworskim na Polankę. A mi został "poetyczny" pseudonim "Kozka".

"Moi chłopcy" zaprowadzili mnie tryumfalnie do nowej "meliny" kpt. "Hali", gdzie po dwudziestu godzinach snu w pokorze wysłuchałam wymówek "Doktora" i pouczeń kapitana. Przede wszystkim orzeczono, że mam chodzić w spodniach i przejść odpowiednie szkolenie, abym umiała się posługiwać i moją "szóstką" i karabinem. Szkolenia dla mnie i dla innych potrzebujących tego (np. uciekinierzy więzienni) prowadził przedwojenny podoficer "Laga" (Stanisław Leśka).

U kapitana "Hali" przebywało stale kilka osób, łatwo zapamiętałam, bo karabinów było dwanaście, a jeden zawsze podczas alarmu zbywał i kto stawiał się ostatni ten go musiał dodatkowo nieść. Niestety często padało na mnie, szczególnie, gdy alarm był w nocy i tyczył obławy. Jednak nie było już ze mną większych kłopotów. W mojej "sławnej" wędrownicy, podczas owej obławy, przeszkadzał mi przede wszystkim mój wzrok krótkowidza i to, że o zmroku, to już zupełnie tracę orientację.

Lubiłam "Halów" czyli Musiałowiczów, a byli to również dobrzy znajomi mojego przyszłego męża. Chodziłam też do obozu "Tatara", czasem na polecenie, gdy mieli sobie coś ważnego do przekazania, czasem, aby posłuchać radia. Oprócz stałych mieszkańców "meliny" kpt. "Hali", wielu zatrzymywało się tu tylko na dzień czy dwa. Kapitanowa zawsze poratowała jakimś lekarstwem. Kpt. "Hala" miał duże doświadczenie ze swojej przedwojennej działalności – i przydawało się to czasem. "Tatar" też często zasięgał jego rady, chociaż niechętnie się do tego przyznawał. W swojej książce: Julian Zubek "Tatar" – *Ze wspomnień kuriera* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988) – na stronach 136-137 tak pisze:

"Poniżej obozu w szopie wypasowej zwanej «Organistówka», usadowił się wraz z żoną były komendant sądeckiego Inspektoratu AK «Niwa», kpt. Henryk Musiałowicz «Hala», przedwojenny komendant straży fabryki broni w Radomiu. Pod jego kierownictwem rozpoczęliśmy próby produkcji granatów siodełek z materiałów wybuchowych zdobytych w Piwnicznej. Próby te do końca okupacji nie były udane z braku zapalników i możliwości znalezienia specjalistów do ich wykonania. U «Hali» spotkałem się ponownie z dowódcą prawie 20-osobowego oddziału partyzantów radzieckich «Aloszą»".

Na str. 138: "Wszedłem z «Tatarzyną» do «Organistówki», aby przygotować «Halów» i przebywającą u nich Władysławę Szkaradek («Koza») do opuszczenia baczki".

W tej samej książce pisze również o tej obławie na partyzantów w pierwszej połowie października i o tragedii na Majchrówce.

Str. 136 i 137: "Rozsyłane patrole zwiadowcze od kilku dni meldowały o zupełnym spokoju w miejscowościach, gdzie stacjonowały jednostki niemieckie. Bez obaw wysłał więc «Student» na Majchrówkę pięciu ludzi: «Kobrę», «Wyrwę», «Kanara», «Maryškę» i «Tajnego». W domu gospodarza Stanisława Polańskiego mieli piec chleb. Rozpoczęli oni ten wypiek w sobotę wieczór 7 października z mąki zarekwirowanej przez «Hansa» w młynie na Piaskach. Nazajutrz o świcie powrócili «Maryška», «Kana», i «Tajny» z workami pachnącego chleba i zgłosili dowódcy warty «Bobrowi», że obydwaj starsządeczanie pozostali do końca ostatniego wypieku. Dzień zapowiadał się piękny, więc zadowoleni partyzanci w oczekiwaniu na śniadanie z dawno nie widzianego chleba, nie czując żadnego zagrożenia, nucili ulubione piosenki, żartowali i opowiadali sobie rozmaite kawały.

Jakież ogarnęło nas zaniepokojenie, gdy koło godziny siódmej rano stojący na warcie w kępie drzew «Kozioł» zameldował mi o jakimś niecodziennym ruchu na Nawsiu. Zaalarmowany pobiegłem do punktu obserwacyjnego i od strony cichej dołąd wsi usłyszałem warkot wielu aut, a gdy mgły spowijające dolinę na chwilę ustąpiły, zobaczyłem, że duża liczba aut naładowanych wojskiem podjeżdża do Nawsia. Wkrótce widok ten zastąpiła gęsta mgła. Liczyłem, że ktoś z leśniczówek od Burgerów, może nasz zwiadowca, szybko nogi «Sarna», znanymi sobie skrótami ubiegnie Niemców i wyjaśni nam, co się dzieje. Niestety, nikt z dołu nie pojawił się w obozie. Zarządziłem alarm wysyłając jednocześnie na rozpoznanie «Wydrę» i «Bażanta». Ubezpieczeni od strony Łomnicy plutonem «Michała» (Edward Siemiradzki), w pośpiechu likwidowali obóz".

Na str. 140 i 141: "Od pozostałych przy życiu domowników, którzy w chwili przybycia Niemców paśli było na pobliskiej polanie, dowiedzieliśmy się o szczegółach tej tragedii.

Około godziny ósmej do obejścia Polańskich podeszła straż przednia obławy. Obydwaj partyzanci nie mając szans ucieczki, jak stali w samych tylko spodenkach, porwali za karabiny i bronili się z okna domu. Niemcy obrzucili chałupę pociskami zapalającymi; gdy buchnęły płomienie, z domu wybiegli jego mieszkańcy, aby w ucieczce szukać ocalenia. Broczący krwią «Wyrwa» został na progu przeszyty strzałami z pistoletu maszynowego, «Kobra» zdołał dobiec do stodoły, ale i on podzielił los kolegi. Domownicy także nie doznali łaski. Zastrzelono ich na polanie, nie bacząc na wiek. Oprócz partyzantów zginęli: Maria Polańska, lat 21,

z jedenastomiesięcznym synkiem, jej matka Maria Izworska, lat 43, oraz pasterz Wojciech o przydomku Bośniak-Margosiak, lat 64. Wszystkich zamordowanych Niemcy wrzucili do płonącego domu. W dalszej drodze ku Pisanej Hali spalili oni zabudowania Mikołaja Klimczaka na Niedźwiadkach, Józefa Wnęka na Rechmanówce oraz siedem szop na Górach Bołoziańskich".

A więc te strzały karabinowe, które mnie przestraszyły wówczas drugiego dnia ucieczki, gdy natknęłam się na spalony dom – to była salwa honorowa! Partyzanci od "Tatara" żegnali swoich kolegów, którzy zginęli przy wypieku chleba. A przecież... gdyby byli nie spieszyli się tak z upieczonym chlebem na śniadanie i nie zostawili kolegów bez ubezpieczenia – może do tragedii by nie doszło.

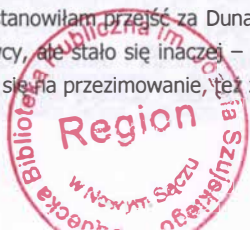
Drugiego listopada, w Dzień Zaduszny, przybyliśmy w kilkoro, z kapitanem "Halą" i jego żoną, na mszę polową, która została odprawiona na polance w obrębie obozu "Tatara".

A tak pisze o tym on sam we wspomnianej książce na str. 145 i 146: *"Dowiedziawszy się o tragedii, jaka rozegrała się na Majchrówce, ksiądz przysłał nam księdza Kostrzańskiego («Mirt»), aby odprawił mszę św. za jego parafian. Nie znaleźliśmy «Mirta», lecz jego kilkudniowy pobyt w obozie był bardzo pożyteczny. Zaraz po spowiedzi mszy św. odprawionej na obozowej polanie zakasał rękawy i zabrał się do budowania w szopach pieców z kamienia i gliny, naprawiania chłopcom odzieży i butów. Stale uśmiechnięty i zycziwy, przypadł nam do serca".*

Moje odczucia, z tej jedynej mszy świętej, w której uczestniczyłam w obozie "Tatara", były zupełnie inne. Przede wszystkim po spowiedzi i komunii św., do której przystępowało również kilkunastu partyzantów, przestałam się bać. A bardzo mi się to przydało, gdy na przełomie listopada i grudnia zachorowałam na zapalenie stawów. Leczył mnie wtedy doktor "Turek" (Zbigniew Wroniewicz), który przebywał w Łomnicy i opiekował się rannymi i chorymi partyzantami. Przejeżdżał nieraz wiele kilometrów od oddziału do oddziału, na nartach – bo spadł śnieg, a gdy miałam obiekcje, że takie drogie lekarstwa dla mnie przeznaczył – pocieszył mnie, że ten, dla którego zrzucili je z Anglii i tak już nie żyje.

Po kolejnej obławie musieliśmy zmienić bacówkę na ziemiankę w zboczcu pagórka. W tej sytuacji uwierzyłam wreszcie doktorowi "Turkowi", że w takich warunkach, z moim ledwie podleczonej postępowym zapaleniem stawów, nie przetrwam do wiosny.

Postanowiłam przejść za Dunajec do "meliny", którą mi zaproponowali zycziwi BCh-owcy, ale stało się inaczej – z pocztą przyszła moja siostra Danka i z nią zabrałam się na przezimowanie, też za Dunajec, ale na Szczereż.



Armia radziecka w zimowej ofensywie zaczęła szybko postępować naprzód. Można się było spodziewać, że zbliża się koniec wojny, przynajmniej na naszym terenie. Nie mieliśmy żadnych dokładnych informacji. 18 stycznia, gdy zbliżał się świt, ale jeszcze było szaro, ciemnowo i mglisto, usłyszeliśmy od strony Nowego Sącza straszną detonację. Co się stało? Dwa dni później zaczęły krążyć przerażające wiadomości, że chyba została wysadzona część miasta, ale nikt nic pewnego nie wiedział.

Po zajęciu Nowego Sącza przez wojska radzieckie, gnana niepokojem, postanowiłam udać się do miasta, aby zasięgnąć języka. Był bardzo wysoki śnieg i około dziesięciu stopni mrozu. Już na wzgórzu, gdy znalazłam się poza domami, ostrzelał mnie "kukuruźnik" radziecki. Wówczas różni rozbitkowie z wojsk niemieckich błakali się jeszcze po lasach, a radzieckim lotnikom, do tego patrzącym z wysoka, każde "portki" koło lasu wydawały się podejrzane. Zresztą, przecież znajdowali się na ziemiach "zdobycznych".

W Olszanie, z pagórka pędem, po wysokim śniegu, zbiegłam wprost na szosę. I tu zatrzymali mnie też żołnierze radzieccy. Coś tam gadali, wymachiwali rękami, nie rozumiałam niczego. Dopiero dwóch mieszkańców Olszany wyjaśniło mi, że w rozpędzie przebiegłam przez zaminowane pole.

– Pierońskie miała panienka szczęście – zawyrokowali.

Zrozumiałam, że uratował mnie wysoki śnieg przymarznięty po wierzchu, i to, że chroniąc przed zamoczeniem nogi, starałam się biec lekko i szybko, aby nie zapadać się zbyt głęboko. Moi "tłumacze" podprowadzili mnie pod szopę, gdzie na deskach ściany było wypisane ostrzeżenie o minach, zaś po drugiej stronie szopy strzałka w kierunku szosy prowadzącej do Sącza z napisem: min niet!

Poszłam dalej rozminowaną już drogą. Spotkałam partyzanta od "Zawiszy", Fedkę, imienia nie pamiętam. Miał gospodarstwo rolne koło Nowego Sącza i też chciał się dowiedzieć czegoś o sytuacji w mieście i w rodzinnej wsi. Poszliśmy razem. Chyba gdzieś w Świniarsku minął nas "Giedymin" (Stanisław Sznajder), sadił dużymi krokami od strony zupełnie zamarzniętego Dunajca.

I oto już za chwilę, przed nami na pagórku zamajaczyło miasto, omotane mgłą i niewiadomym nam jeszcze losem. Do Sącza można się było dostać tylko po lodzie, który na nowo skuł rzekę i umocnił się pomiędzy krami po chwilowej odwilży. Z bieli śniegu sterczały żelazne, poszarpane przęsła mostu i osmalone kamienie przyczółka. *I gruzy, potężne głazy zalegające nadbrzeże i duszące ulice. Nie mo-*

głam oderwać wzroku od tego poszarpanego wraku, który kiedyś był zamkiem – dumą Nowego Sącza. Przypomnienia wyrzucały obrazy na ekran pamięci i byłam jak w zamroczeniu.

Dzieciństwo: mój ojciec, całe życie niepoprawny społecznik – z nim chodziliśmy "na zamek". I był on sekretarzem Komitetu Odbudowy Zamku, i zbierał eksponaty do przyszłego muzeum ziemi sądeckiej, i po odbudowie urządził to muzeum... Naturalnie nie sam, była cała grupa sądeczan społecznie pracujących nad umocnieniem pamięci mieszkańców o przeszłości ich grodu. Historia i legenda otaczały mnie tu i wychowywały!... Teraz stałam i patrzyłam, patrzyłam...

Po latach napisałam w wierszu – oto z niego fragment:

*Wierne szkiełka pamięci w kalejdoskop wpięte
przywołują obrazy zbiegłe z rycin starych,
z wyblakłych fotografii; jak nicią Ariadny
wyprowadzona jestem z labiryntu dzisiaj,
w przeszłość – dzieciństwa Eden: tkwią na straży baszty
i skarpy podpierają mury wiekopomne.
Wspominam tę gotycką salę na parterze,
z wybujalym sklepieniem w dumnych ostrołukach,
do której wejścia strzegły kamienne węgary,
a nad nimi świtały w tynkach resztki herbów...*

Przez lata różne były sądy i domniemania sądeczan o celu wysadzenia zamku: ocalenie Sącza przed losem Jasła, czy też, a może przede wszystkim, partyzanci radzieccy zadbali o uniknięcie strat swojej armii.

A tak o tym pisze Iwan Zołotar (Zolotar Ivan Fedorovič) na stronach 398-402 w książce wspomnieniowej i dokumentalnej pt. *Przyjaźń wojennych lat* (tłumaczenie z rosyjskiego: Leon Onichimowski, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1974).

"Informacje takie otrzymali również zwiadowcy oddziału «Tani» i podpułkownika Gładilina.

– No, dobrze, materiały wybuchowe przywieźli po to, aby zaminować miasto, mosty, tamy, i tak dalej. Po co jednak potrzebne są w Nowym Sączu miny przeciwczołgowe? - pytał zdenerwowany szef sztabu zgrupowania, starszy lejtnant Sasza Tuleszow.

Mogła być tylko jedna odpowiedź na to pytanie. Panzerfausty były przeznaczone do niszczenia radzieckich czołgów i artylerii.

(...)

W każdym razie do naszej decyzji uratowania za wszelką cenę Nowego Sącza doszła troska o nasze czołgi i pierwsze jednostki artyleryjskie.

Odpowiedź na pytanie, dla kogo przeznaczone są panzerfausty w podziemiach zamku, nadeszła bardzo szybko, i to nie z Nowego Sącza, jak oczekiwaliśmy, lecz z zupełnie innej strony.

Dziesiątego stycznia na przełęczy Wysokie grupa partyzantów z trzeciego oddziału rozbiła z zasadzki niemiecki samochód sztabowy, pędzący z Limanowej do Nowego Sącza. W toku strzelaniny wszyscy czterej pasażerowie – kierowca, ordynans i dwaj oficerowie – zostali zabici. W teczce jednego z nich, którym jak się okazało był specjalny kurier, oberleutnant Franz Schligel, wśród innych tajnych dokumentów znajdował się rozkaz szefa żandarmerii Generalnego Gubernatorstwa, Kotina. Zobowiązywał on pułkownika Römmera – w razie zbliżenia się wojsk radzieckich – do uzbrojenia w panzerfausty wszystkich jednostek żandarmerii oraz rzucenia ich do walki przeciwko radzieckim czołgom i samobieżnej artylerii.

(...)

Akcję wysadzania szczegółowo opisują notatki dziennika jednego z wykonawców – Witolda Młyńca.

(...)

«16. 1. 1945 r.

16. 1. Był dla mnie dniem, którego nie zapomnę do końca życia. Rano, jak zwykle, poszedłem do pracy... Rozkazano nam załadować na samochód materiały wybuchowe w celu przewiezienia ich do jakiegoś innego magazynu. O 10.15 siedliśmy do samochodu na paczkach materiałów wybuchowych i pojechaliśmy do – jak się okazało po drodze – zamku. Żałowaliśmy bardzo, że nie mieliśmy ze sobą miny, moglibyśmy podłożyć ją w czasie przenoszenia materiałów do piwnic zamku. Po chwili wrócił magazynier i powiedział, że musimy wracać. Jeszcze raz przyjeździemy po południu, ponieważ teraz nie ma komendanta magazynu. Wiadomość ta bardzo nas ucieszyła i w przerwie obiadowej przynieśliśmy szybko do magazynu dwie miny, żeby się nie spóźnić z wyjazdem do zamku... Przybiegliśmy o 13.00. Samochód jeszcze stał. O godzinie 13.30 pojechaliśmy ponownie do zamku. Edek po drodze zabawił jadących w samochodzie ludzi, a ja, korzystając z tego, otworzyłem dwie paczki, zawierające po 25 kg trotylu, i włożyłem w nie zapalniki. Pojechaliśmy do zamku. Paczki z minami wnieśliśmy do piwnic sami, bojąc się, żeby

inni nie upuścili i nie spowodowali wybuchu. Kiedy złożyliśmy je w piwnicy, byliśmy obaj bardzo zadowoleni; zadanie zostało wykonane.

Wieczorem wyszliśmy z miasta i dostaliśmy się do placówki w Kicznie. Następnego dnia o godzinie 8 rano meldowałem radzieckiemu dowództwu o wykonaniu rozkazu.

Wybuch nastąpił 18. 1. 1945 r. o godzinie 5.20. ...»"

To z pamiętnika Młyńca w książce Zołotara. Dalej znów wynurzenia dowódcy oddziału partyzantów radzieckich.

"Począwszy od 16 stycznia przez Nowy Sącz przeciągały niemieckie wojska drugiej linii. Wycofywały się bezładnie. W nocy z siedemnastego na osiemnasty przy przeprawie przez Dunajec, obok murów zamku, zgromadziło się setki hitlerowców i duża ilość samochodów, furmanek, autobusów, dział samobieżnych. W chwili wybuchu wszystko to – zarówno ludzie, jak i transport – znalazło się pod grubą warstwą kamieni. Ogólna liczba zabitych i rannych w czasie wybuchu wśród wycofujących się jednostek i w tysiąc siedemnastym batalionie wartowniczym, znajdującym się w zamku, wynosiła ponad czterystu ludzi".

I to tyle z książki Zołotara *Przyjaźń wojennych lat*.

Jeżeli przy wysadzaniu zamku wielkich ofiar wśród mieszkańców miasta nie było – to pamiętajmy, że dziedziniec zamkowy przylegał do otoczonego wysokim murem getta, w którym przed wymordowaniem zamknięto resztki sądeckich Żydów – więc w chwili wybuchu kamienice pozostałe w getcie były puste! I w większej części legły w gruzach.

Naprzeciw zamku, w domku, w ogrodzie, cofniętym od ulicy, została zabita osiemnastoletnia dziewczyna, Janina Sarnianka. Grób jej jest na cmentarzu miejskim.

*

A ja, owego 22 czy 23 stycznia, z moim towarzyszem, partyzantem, po zastanowieniu postanowiliśmy jednak przejść do miasta. Przedarliśmy się przez te gruzy niby uprzętniętym przejściem i... spotkało mnie "miłe" powitanie w rodzinnym Nowym Sączu.

Oto na byle jak postawionym parkanie – duże, kolorowe plakaty: *Zaplute karty reakcji precz* i dwa przerażone "ludziki" z napisem na plecach: AK i NSZ – oraz solidny, duży but wymierzający im potężnego kopniaka... Na drugim – ogromna miotła i takie same na "ludzikach" litery oraz napis: *Wymieciemy reakcję z Polski*.

Do końca życia będę mieć te plakaty przed oczami – pomyślałam oszołomiona. I niby przepowiednia nadleciał ku mnie z oddali *Chorał Ujejskiego*...

Stałam jak zaczadzona i nagle z odrętwienia wyrwał mnie zachrypnięty głos Fedki:

– Co mam robić?

Popatrzyliśmy na siebie i niby obojętnie wzruszyłam ramionami.

– Rzuć pan broń gdziekolwiek w krzaki, albo w przerębę na Dunajcu i wracaj uprawiać zagon. Nadchodzi wiosna. Pory roku nie zawodzą, a przynajmniej tak dotychczas było. Armie idą i przechodzą... różne rządy są – i zmieniają się... A ziemia zostaje.

Tadeusz Basiaga

WIERSZE

*kawa papieros jeden
drugi trzeci dzień przeklina
deszczem liczę włosy na głowie
zajęcie dobre jak każde inne
znoszone rzeczy kleją się do ścian
znoszony ja kleję się do życia
by obudzić pragnienie
kawa papieros jeden drugi...*

*kolejny niepotrzebny dzień niepotrzebny ja
przy narodzinach kot nie przebiegł
mi drogi a doszedłem donikąd
stąd nie ma powrotu i łono
nie schroni mnie przed dniem
który nietoperz zamyka w oku
a koty choć przebiegają wszystkie drogi świtu
to szkoda ich zabijać one same
sobie drogi przebiegają*

*biały sufit jak mgła
opada w mój strach coraz
bardziej pękam rozdziela się
ja i ktoś kto mówi skończ
zamknij oczy i zobacz czerń uspokaja
bardziej niż relanium*

*bląkam się po kanałach
telewizyjnych szcurze życie czas
ścieka w żyłach tania rozkosz
istnienia o oczach pustki i okruchach
które wyjadam by serce
biło po co dlaczego nie wiem*

*zapaliłem światło tli się życie
papieros na całą noc za mało
puste flaszki znieczulenia wykręcić
choć kilka kropel chodzę od drzwi
balkonowych do okna w kuchni
krok krok krok obrót
krok itd podpięty do kroplówki
czasu który dzieli mnie
od wieczności*

*szukałem
a czas odmierzał ciekący kran
teraz piję ten czas już nie
przebiega chyba że prze oczy
bo coraz słabsze i włosy
bo coraz bielsze a ja wpatrzony
w sufit który ciemnieje jak horyzont
przed nim nie ucieknę a i tak
nie ma dokąd*

*rozpływam się w upale w wodzie
ubywa mego osobistego brudu w kanał
telewizyjny znów przełączam swoje
ja w idiotyzm obrazów słów nie są
to zaklęcia żaba żabą a książkę
może zjeść żabie udko niewielki
kanibalizm marzenia*

wiosna skończyła się mgłą
nie było już lęków
pąków i pierwszych kwiatów
ziemia obróciła się w kor dojrzałości
jeszcze chwila a plon nasyci ptaka przed odlotem
a ja zostanę w zimie
bo panna młoda w mych snach
jest bielą mego świata
zaślubioną w odejściu
do niej doszedłem

*pod słońcem jesteś sam
wokół ciebie miliardy manekinów*

pod słońcem jesteś sam

*słońcem jesteś
czy
marionetką*

*rytro
schodzimy z wandą
do dworca
brat śpiewa
o moje je morje
jestem taki młody
makowica ciemnieje w zachodzie
wszystko mogę wszystko się uda*

*pociąg odjechał
nie ma wandy
pusty pokój
nic nie mogę nic się nie udało*

*każdego wieczoru
schodzę z wandą i bratem
na pociąg
może nie odjedzie*

Z KSIĘGI MAŁŻEŃSTW DUSZPASTERSTWA GARNIZONU NOWY SĄCZ

W archiwum Parafii pw. św. Małgorzaty w Nowym Sączu znajduje się Księga Małżeństw (Liber Copulatorum) sądeckiego garnizonu z lat 1929-1939. Zawiera ona adnotacje dotyczące ślubów zawieranych przez podoficerów i oficerów 1. Pułku Strzelców Podhalańskich. Pierwszy ślub odnotowano pod datą 9 lutego 1929 roku, choć odbył się o tydzień później niż ślub por. Władysława Wójtowicza. Dziś trudno dociec dlaczego. Ostatnim ślubem, który został odnotowany przed wybuchem II wojny światowej, był ślub plut. Franciszka Wójcika, który się odbył 12 sierpnia 1939 roku. W tym czasie w sądeckim garnizonie starszym kapelanem W.P. (majorem) był ks. Jakub (Jakób) Stec (ur. 29 VI 1886, odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych). W sumie księga ta zawiera 53 wpisy, stanowiące ciekawy dokument dla biografów i badaczy historii wojskowości na terenie Sądeckizyny.

Poniżej zamieszczono ciekawsze wypisy z *Księgi Małżeństw Duszpasterstwa Garnizonu Nowy Sącz 1929-1939*. Do treści zasadniczej dołączono czasami odautorski komentarz mający przybliżyć daną postać.

MICHAŁ WĘGRZYN (plutonowy zawodowy 1. psp),
syn Teodora i Anny Sidor,
urodzony 17 października 1903 roku w Żegiestowie,
zawarł związek małżeński 9 lutego 1929 roku
z **Wandą Kuczma**,
córką Bazylego i Emmy Heller,
urodzoną w Szczawnicy 26 lutego 1910 roku.

WŁADYSŁAW WÓJTOWICZ (porucznik służby stałej 1. psp)
syn Andrzeja i Marii Mikszewicz,
urodzony 4 lipca 1898 roku w Brzozowie,

zawarł związek małżeński 2 lutego 1929 roku
z **Julią Burger**,
córką Edwarda i Emmy Bretschneider,
urodzoną w Krzywnie (powiat Skole) 17 września 1908 roku.

Kpt. **Władysław Wójtowicz** we wrześniu 1939 roku dowodził batalionem Obrony Narodowej "Limanowa", uniknął niewoli, przedostał się do Łomnicy Zdroju, współpracował z ZWZ-AK, po zakończeniu II wojny światowej osiedlił się w Katowicach, gdzie zmarł.

ROMAN ZAZIEMSKI (porucznik służby stałej 1. psp)
syn Józefa i Domiceli Muzyczki,
urodzony 15 lutego 1899 roku w Dubiecku,
zawarł związek małżeński 8 kwietnia 1931 roku
ze **Stefanią Szewczyk**,
córką Michała i Agnieszki Szaraty.
Ślubu udzielił ks. Leon Zaziemski.
Świadkami byli Marian Zaziemski i Jan Górowski.

Mjr **Roman Zaziemski** we wrześniu 1939 roku dowodził 2. kompanią Obrony Narodowej "Grybów", potem był w niewoli niemieckiej w Murnau, na emigracji w USA do 1967 roku, prezes Sądeckiej Rodziny Katyńskiej, zmarł w Nowym Sączu w 1992 roku. Odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918-1921 i Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości.

WŁODZIMIERZ WINIARSKI (porucznik służby stałej 1. psp)
syn Jana i Katarzyny Szabagan,
urodzony 27 stycznia 1902 roku w powiecie przemyskim,
zawarł związek małżeński 10 maja 1932 roku
z **Julią Lidwin**,
córką Władysława i Marii Eckert,
urodzoną w Nowym Sączu 3 lutego 1912 roku.
Ślubu udzielił ks. Jakub Stec w kościele oo. Jezuitów.

Kpt. **Włodzimierz Winiarski** we wrześniu 1939 roku dowodził 6. kompanią I. psp, potem był w niewoli, po zakończeniu II wojny światowej w LWP, w którym dosłużył się stopnia podpułkownika, zmarł w Bydgoszczy.

JÓZEF KĄCKI (starszy sierżant zawodowy 1. psp)
syn Antoniego i Marii Czub,
urodzony 12 grudnia 1895 roku w Starym Sączu,
zawarł związek małżeński 19 listopada 1932 roku
z **Władysławą Bocheńską**,
córką Józefa i Marii Cyrwus,
urodzoną w Starym Sączu 5 sierpnia 1906 roku.
Ślubu udzielił ks. Antoni Odziomek w Starym Sączu.

JÓZEF MICHALIK (plutonowy zawodowy 1. psp)
syn Wincentego i Zofii Ptaszkowskiej,
urodzony 3 marca 1905 roku w Starym Sączu,
zawarł związek małżeński 7 stycznia 1933 roku
z **Heloną Przybytniowską**,
córką Ignacego i Anny Bieniek,
urodzoną w Starym Sączu 17 lutego 1907 roku.
Ślubu udzielił ks. Antoni Odziomek w starosądeckim kościele parafialnym.
Świadkami byli Karol Harwat i ppłk Zygmunt Krudowski.

PAWEŁ JURACKI (podpułkownik służby stałej, komendant PKU N. Sącz)
syn Napoleona i Anny NN,
urodzony 1 listopada 1885 roku w Rzeczycach (powiat Mińsk)
zawarł związek małżeński 8 lutego 1933 roku
z **Janiną Borucką-Gorecką**,
córką Władysława i Jadwigi Maksymowicz,
urodzoną w Krakowie 5 lutego 1898 roku.
Ślubu udzielił w kaplicy ss. Felicjanek ks. Jakub Stec.

Pptk **Paweł Juracki**, odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, został zamordowany pod okupacją sowiecką na Kresach Wschodnich w 1940 roku (T. Kryśka-Karski, *Straty korpusu oficerskiego 1939-1945* - Londyn 1996).

LUCJAN NIEDZIELSKI (porucznik służby stałej 1. psp)
syn Zygmunta i Marii Szymańskiej,
urodzony 13 grudnia 1899 roku w Krakowie,
zawarł związek małżeński 27 lipca 1935 roku
z **Marią Hock**,
córką Ludwika i Ludwika Rzeppa,
urodzoną w Strzyżowie 20 sierpnia 1905 roku.
Ślubu udzielił ks. Jakub Stec w kościele w Nawojowej .

Kpt. **Lucjan Niedzielski**, odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, we wrześniu 1939 roku służył w taborach 1. psp, dostał się do niewoli niemieckiej, po zakończeniu II wojny światowej pracował w Nowym Sączu, zmarł w Krakowie.

WOJCIECH ZNAMIROWSKI (porucznik służby stałej 1. psp)
syn Wojciecha i Józefy Janik,
urodzony 6 listopada 1906 roku w Starym Sączu,
zawarł związek małżeński 28 września 1935 roku
z **Janiną Tokarczyk**,
córką Kazimierza i Stanisławy Pasiut,
urodzoną w Starym Sączu 2 kwietnia 1911 roku.
Ślubu udzielono w starosądeckim kościele parafialnym.

Kpt. **Wojciech Znamirowski** we wrześniu 1939 roku jako oficer 5. batalionu pancernego z Krakowa dostał się do niewoli sowieckiej, był jeńcem obozów w Starobielsku, a potem w Kozielsku, zamordowany został przez NKWD w marcu lub kwietniu 1940 roku w Katyniu.

LUCJAN ŚWIERCZEWSKI (kapitan służby stałej 1. psp)
syn Franciszka i Feliksy Wolskiej,
urodzony 7 stycznia 1901 roku w Jedlińsku,
zawarł związek małżeński 28 września 1935 roku
z **Anną Wiłek**,
córką Michała i Marii Klocek,
urodzoną w Grybowie 23 maja 1914 roku.
Ślubu udzielono w grybowski kościele parafialnym.

Kpt. **Lucjan Świerczewski** we wrześniu 1939 roku dowodził 8. kompanią 1. psp, dostał się do niewoli niemieckiej, po zakończeniu II wojny światowej dosłużył się w LWP stopnia majora, zmarł w Gliwicach.

ALEKSANDER STOMA (porucznik służby stałej 1. psp)
syn Mikołaja i Stefanii Koško,
urodzony 4 września 1901 roku w Mukiewiczach (powiat Nowogródek),

zawarł związek małżeński 7 października 1935 roku
z **Bronisławą Cyło**,
córką Walentego i Anieli Nowak,
urodzoną we Lwowie 1 kwietnia 1911 roku.
Ślubu udzielono w kościele pw. św. Kazimierza w Nowym Sączu.
Świadkami byli ppłk Kazimierz Aleksandrowicz i kpt. Ignacy Jeleń.

Kpt. **Aleksander Stoma** we wrześniu 1939 roku dowodził batalionem marszowym 34. pułku piechoty, walcząc m.in. w obronie Brześcia nad Bugiem, dostał się do niewoli sowieckiej, był jeńcem obozów w Stabielisku, a potem Kozielsku, zamordowany przez NKWD w Katyniu w marcu lub kwietniu 1940 roku.

FERDYNAND KUMOREK (plutonowy zawodowy 1. psp)
syn Michała i Marii Łysak,
urodzony 28 września 1906 roku w Piwnicznej,
zawarł związek małżeński 28 stycznia 1936 roku
z **Janiną Wszolek**,
córką Wawrzyńca i Anny Banaszek,
urodzoną w Zbuczynie (parafia Sieciechów) 9 lutego 1918 roku.
Ślubu udzielono w kościele oo. Jezuitów w Nowym Sączu.

Plut. **Ferdynand Kumorek** w lecie 1939 roku został oddelegowany do plutonu pionierów 156. pułku piechoty rezerwy i w dniu 15 września tegoż roku poległ pod Dachnowem walcząc przeciwko wojskom niemieckim.

JAN PŁANETA (porucznik służby stałej 27. pp)
syn Szymona i Marianny Klucz,
urodzony 24 kwietnia 1902 roku w Częstochowie,
zawarł związek małżeński 7 października 1936 roku
z **Anną Bugajską**,
córką Zofii Bugajskiej,
urodzoną we Lwowie 14 lipca 1906 roku.
Ślubu udzielono w kościele oo. Jezuitów w Nowym Sączu.
Świadkiem był Marian Moszycki, student praw UJ.

Kpt. **Jan Planeta** poległ 19 września 1939 roku walcząc w ramach 65. pułku piechoty przeciwko wojskom niemieckim pod Wyszogrodem.

STANISŁAW WOJTAS (porucznik b pchor. rez. piech. nr 5)
syn Piotra i Katarzyny Woźniczki,
urodzony 5 czerwca 1899 roku w Krakowie,
zawarł związek małżeński 6 kwietnia 1931 roku
z **Marią Korcz**,
córką Wojciecha i Julii Wawczkiewicz.
Ślubu udzielił w kościele pw. św. Kazimierza ks. Jakub Stec
Świadkami byli ppłk Władysław Sidziński PKU Sieradz i por. Franciszek Gocko, żandarmeria Grudziądz.

TOMASZ POLAŃSKI (sierżant zawodowy 1. psp)
syn Michała i Katarzyny Zielińskiej,
urodzony 9 października 1902 roku w Łomnicy Zdrój,
zawarł związek małżeński 26 lutego 1938 roku
z **Walerią Kosecką-Darecką** (wdową),
córką Stanisława Koseckiego i Anny Kalarus,

urodzoną 13 lutego 1902 roku w Chełmcu.
Ślubu udzielono w kościele pw. św. Kazimierza w Nowym Sączu.

STANISŁAW CABAŁA (plutonowy zawodowy 1. psp)
syn Andrzeja i Małgorzaty Rosiek,
urodzony 30 września 1907 roku w Nowym Sączu,
zawarł związek małżeński 25 czerwca 1938 roku
z **Michaliną Dziurzyńską**,
córką Teofila i Antoniny Rzuchrajewicz,
urodzoną w Śniatyniu 28 września 1908 roku.
Ślubu udzielono w kościele pw. św. Kazimierza w Nowym Sączu.

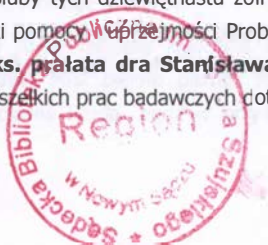
MICHAŁ BRZOZA (porucznik służby stałej Korpusu Kadetów nr 2 w Rawiczu)
syn Karola i Heleny Sajdak,
urodzony 20 czerwca 1908 roku w Jordanowie,
zawarł związek małżeński 6 sierpnia 1938 roku z **Martą Klimek**,
córką Romana i Zofii Łazarskiej,
urodzoną w Jordanowie 19 czerwca 1914 roku.
Ślubu udzielono w kościele pw. św. Kazimierza w Nowym Sączu.

IGNACY JELEŃ (kapitan służby stałej 1. psp)
syn Józefa i Tekli Basta,
urodzony 6 maja 1895 roku w Nowym Sączu (Załubińcze),
zawarł związek małżeński 29 lipca 1939 roku
z **Władysławą Gałuszką**,
córką Władysława i Marii Maziarz,
urodzoną w Nowym Sączu 24 maja 1911 roku.
Ślubu udzielono w kościele parafialnym w Nawojowej.
Świadcami byli inż. Edward Migdał i Antonina Szczepanik.

Kpt. **Ignacy Jeleń**, legionista, (urodzony wg *Rocznika Wojskowego* 6.V 1894 roku) we wrześniu 1939 roku dowodził batalionem Obrony Narodowej "Nowy Sącz", był jeńcem obozu w Woldenbergu, zmarł w Krakowie 31 stycznia 1955 roku.

FRANCISZEK WÓJCIK (plutonowy zawodowy 1. psp)
syn Józefa i Karoliny Drobny,
urodzony 17 listopada 1907 roku w Nowym Jorku,
zawarł związek małżeński 12 sierpnia 1939 roku
z **Emilią Tokarz**,
córką Stanisława i Marii Rolka,
urodzoną w Nowym Sączu 17 grudnia 1917 roku.
Ślubu udzielił w kościele oo. Jezuitów w Nowym Sączu ks. Jakub Stec.

Śluby tych dziewiętnastu żołnierzy sądeckiego garnizonu zostały wynotowane dzięki pomocy i uprzejmości Proboszcza Parafii pw. św. Małgorzaty w Nowym Sączu **ks. prałata dra Stanisława Lisowskiego**, który zawsze życzliwie odnosi się do wszelkich prac badawczych dotyczących Sądeczyny i ludzi z nią związanych.



RÓD BIEDÓW W SOWLINACH

Od bardzo dawna w Sowlinach pod numerem 52 ma swoją siedzibę chłopski ród Biedów. Pierwszym nieco bardziej znanym jego przedstawicielem był Wojciech Bieda, który ożenił się z Marią Sową. Z nią miał czworo dzieci. Byli to: Jan, Tomasz, Antoni i Katarzyna, zamężna Mizgałowa. Na mocy cesji z dnia 8 lutego 1847 r. Wojciech zagrodę o powierzchni 15 morgów 1087 sążni odstąpił swemu synowi Janowi, urodzonemu 19 stycznia 1825 r. Jego żoną została Maria Mamak. Jej bratem był ks. Bartłomiej Mamakiewicz, proboszcz w Piwnicznej, który żył w latach 1805–1873. Zmarł na cholera.

Maria i Jan Biedowie dochowali się siedmiorga dzieci: najstarszego Walentego /1847 – 1930/, Wawrzyńca, Józefa, Apolonii, Marianny, Anny i Rozalii. Kiedy ci byli jeszcze małoletni, ich ojciec, liczący zaledwie 39 lat, dnia 8 stycznia 1864 r. sporządził testament. W nim po połowie zagrody i budynków przeznaczył synom Walentemu i Wawrzyńcowi. Za współopiekuna swych małoletnich dzieci i ich majątku, *"aby pomocą żonie był"*, wyznaczył szwagra Wojciecha Jeża, mieszkającego w Sowlinach "pod górką", gdzie niegdyś gospodarował Zygmunt Sowa. Inwentarza żywego żadnego nie posiadał i tego nikomu nie zapisał. To wskazuje, że był dość lichym gospodarzem, być może z powodu słabego zdrowia. Ze sprzętów Walentemu i Wawrzyńcowi ojciec odkazał wóz, po jednym łańcuchu i siekierze. Na swój pogrzeb z majątku, który synom zapisał, zadeklarował 40 florenów.

Młodszy syn Jana Biedy – Wawrzyniec krótko żył. Swe pole podarował siostrze Mariannie, a ta sprzedała go Stanisławowi Biedzie ze Bzdyczki.

Na ojcowiznie pozostał Walenty Bieda. Prawdopodobnie przy końcu 1867 r. lub na początku 1868 r. licząc zaledwie 19 lat, ożenił się z Marią Kurczab /1849–1922/, córką Jędrzeja i Magdaleny Jeż.

Maria i Walenty Biedowie byli rodzicami: Antoniego /1868 – 1945/, Agaty /1870 – 1921/, Antoniny /1875 – 1963/, Marcina /1877 – 1939/, Jana /1887 – 1970/, Franciszka /1889 – 1916/ i Józefa /1892 – 1933/.

Walenty Bieda uprawiał całe 23 morgi swego gruntu, nic nie ugorował. Po roku 1900 z obszaru dworskiego w Sowlinach kupił kilka morgów lasu jodłowego. Zawsze chował parę wołów, a czasem i cztery sztuki. Od czasu do czasu je sprzedawał i spłacał stryjów, ciotkę, siostry i brata. Chował też cztery krowy. Sąsiedzi w pracy chętnie mu pomagali, bo u niego mogli zaspokoić głód. Przed swą śmiercią spadł z wozu, gdy na parceli zwanej "tłoczkiem" ładował zboże.

Z kolei nieco wzbogaćmy wiadomości o jego potomstwie: Agacie, Antoninie, Marcinie, Janie, Franciszku, Józefie i Antonim.

Agata wyszła za mąż za Błażeja Dyrka z Mordarki, z którym miała dziewięcioro dzieci: Annę, Antoninę, Franciszkę, Jana, Józefa, Katarzynę, Marcina, Stanisława i Władysława. Z Antoniną /1910 – 1988/ ożenił się Władysław Czachurski z Sowlin, a Katarzyna była matką pijara, ks. Józefa – Andrzeja Wróbla.

Druga córka Walentego Biedy – Antonina sama nauczyła się czytać. Piekła smaczny chleb. W starszym wieku była na utrzymaniu bratanka Piotra Biedy, za co jego żonie podarowała 3 morgi swego gruntu. Często się zajmowała rąbaniem gałęzi na opał i sprząaniem obejścia domu.

Syn Walentego Biedy – Marcin – lubił płać wymyślne figle. Raz kupił połęć słoniny, pociął go na kawałki i porozwieszał na gałęziach jodeł, obok drogi wiodącej do sąsiada Kazimierza Leśniaka. Potem wrócił do rodzinnego domu i sprowokował ojca, by sobie westchnął:

- Oj, biyda, biyda!

Na to Marcin zażartował:

- Jako biyda, jak wszystkie drzewa są obwieszane spyrkom?

- A gdzie to mos? – zaciekawiał się ojciec, po czym Marcin go poprowadził do lasu i mu pokazał, że rzeczywiście tak było.

Kiedy Marcin dorósł, wyjechał do Ameryki, gdzie pozostał aż do śmierci. Prawdopodobnie tam był właścicielem kamienicy. Z rodziną w Polsce nie utrzymywał prawie żadnego kontaktu.

O 10 lat młodszy jego brat Jan kształcił się w gimnazjach w Nowym Sączu i Bochni. Miał piękne pismo. Jemu na obrazku katecheta skreślił dedykację: "*Chociażeś Bieda, bądź w przyszłości bogaty*". Wyemigrował do Ameryki. Gdy

podczas I wojny światowej na froncie we Francji został ciężko ranny, umieszczono go w szpitalu dla nieuleczalnie chorych w USA, w stanie Minnesota, gdzie zmarł 3 marca 1970 r. Podobno spoczywa na cmentarzu w Hegewish. Posiadał farmę.

Franciszek Bieda był gorliwym ludowcem. Zginął śmiercią żołnierza w Serbii.

Schedę po Walentym Biedzie dostał jego syn Józef. Czytywał on książki i gazety. W latach 1914 – 1920 brał udział w I wojnie światowej i wojnie polsko–bolszewickiej, skąd wrócił z mocno nadwężonym zdrowiem. W 1932 r., czując zbliżającą się śmierć, po połowie swego gospodarstwa i budynków zapisał bratan-kowi Piotrowi Biedzie i jego siostrze Annie, pod warunkiem, iż ta postara się Żydom złożyć 1500 zł., do których prawa spadkowe im odsprzedała rodzina Dyrków, a które w 1930 r. w testamencie jej przeznaczył dziadek, Walenty Bieda. Wnet z Anną Biedówną się ożenił działacz ludowy Walenty Gawron ze Starej Wsi i zapobiegając licytacji, spłacił ów dług, gdyż wówczas od swego szwagra Stanisła-wa Wójtowicza otrzymał posąg w kwocie 3000 zł.

Antoni Bieda, najstarszy syn Walentego, w 1900 r. z ojcowizny otrzymał 7 morgów gruntu i zorganizował sobie własne gospodarstwo rolne. Był zwolennikiem Związku Chłopskiego. Czytywał "*Przyjaciela Ludu*". Przed I wojną światową dwukrotnie przebywał w Ameryce, skąd tylko przywiózł mosiężny budzik. Od 1916 r. do października 1918 r. był sanitariuszem w szpitalu wojskowym w Łągielnikach koło Krakowa.

Podczas okupacji hitlerowskiej w trakcie długotrwałej obróbki lnu, potrzebnego do wyrobu płótna, Antoni Bieda nawdychał się kurzu i ciężko zachorował na astmę. Jego pogrzeb, jako wuja swej matki, 10 lutego 1945 r. prowadził ks. Józef – Andrzej Wróbel.

Żoną Antoniego Biedy była Maria Ćwik /1875 – 1939/, córka Marcina i Tekli z Mordarki. Siostrę jej ojca, Annę, poślubił Wojciech Jasica z Mordarki. Z jego córką Barbarą /1880 – 1965/ związek małżeński zawarł Stanisław Bednarczyk /1876 – 1943/, ojciec Stanisława, Rafała, Honoraty, Marii, Anny, Heleny, także Piotra Longina, bpa sufragana diecezji tarnowskiej.

Siostra małżonki Antoniego Biedy, Magdalena, w Mordarce się wydała za Jakuba Szewczyka, właściciela wielkiego kamieniołomu, z którego brano materiał na budowę monumentalnego kościoła w Limanowej.

Trzej synowie i dwie córki Antoniego Biedy: Piotr /1904 – 1982/, Anna /1907 – 1976/, Zofia /1909 – 1988/, Jakub /1913 – 1996/ i Władysław urodzony w roku 1918, we współczesnych czasach stali się ostoją swego rodu i przeszli przez życie honorowo. Dlatego im tu poświęci się nieco więcej uwagi.

Piotr Bieda w szkole powszechnej dał się poznać jako przodujący uczeń. Później był członkiem Rady Nadzorczej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej "Kosa" i Banku Spółdzielczego oraz radnym Gminy Limanowa Wieś. Namiętnie czytywał książki i czasopisma, zwłaszcza "Tygodnik Powszechny". Z Gromadzkiej Biblioteki w Sowlinach wyczytał wszystkie najwartościowsze książki beletrystyczne.

W końcu sierpnia 1939 r. z zaprzęgiem powołano go na powode i z limanowską Obroną Narodową udał się na wojnę. Dotarł aż do Krakowa, gdzie Niemcy zajęli jego konia, a drugi z pary, będący własnością sąsiada Józefa Zająca, został zabity.

Piotr Bieda ożenił się ze swoją sąsiadką Anielą Pławecką /1902 – 1986/, siostrą Walentego /1909 – 1986/, samouka kowala i kamieniarza, którego dziełem m. in. jest kilkadziesiąt pomników na cmentarzu parafialnym. Aniela poprzednio była zatrudniona w pensjonacie w Krynicy. Z nią Piotr dochował się dwóch córek i tyłuż synów. Są to: Zofia /Puchowa/, Waleria /Wątrobowa/, Walenty i Stanisław.



Anna Gawron w r. 1932

Na początku dramatycznego września 1939 r., w chacie Piotra Biedy przez kilka dni mieszkali wikariusze parafii limanowskiej: ks. Józef Młynarczyk, późniejszy proboszcz w Podegrodziu koło Nowego Sącza i ks. Jan Rachwał. Kilkakrotnie gościł tu ks. bp dr Piotr Bednarczyk. Artysta malarz Wincenty Gawron, ten wyglądający jak dworek wiejski budynek, obok którego rośnie potężny jesion, pomnik przyrody, w 1938 r. wspaniale ukazał na swym obrazie – akwareli, obecnie zdobiącym jedno z mieszkań w Limanowej przy ul. Słonecznej.

Anna Bieda bez pomocy szkoły nauczyła się czytać i pisać. U swej ciotki Magdaleny Szewczyk przez rok była na służbie. Z nią, jak już poprzednio zostało nadmienione, ożenił się Walenty Gawron /1891 – 1977/. To zdarzenie artysta malarz Wincenty Gawron w swoich *Wspomnieniach lat chmurnych* w 1974 r. zrelacjonował:

"Zrobiony został dobry interes, bo mając posag, mógł Walek znaleźć sobie pannę, co i nastąpiło. Ożenek ten... udał się bardzo, gdyż Anna Biedówna była (i jest) osobą o wielkich zaletach i wielkiej gospodarności. Walek... poza ośmioma morgami uzyskał trzech oddanych szwagrów, którzy zawsze skorzy są do pomocy. Tyle wartościowej pracy i uczucia wnieśli do jego rodziny".

Wesele Anny i Walentego Gawronów odbyło się w kwietniu 1932 r. u Antoniego Biedy. W nim ze strony pana młodego uczestniczyli: Maria Biernat, artysta plastyk Wincenty Gawron z siostrą Anną, Kunegunda i Stanisław Wójtowiczowie, prezes Zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego Józef Mamak, Stanisław Dutka ze swą kuzynką Marią, syn wójta z Mordarki Jan Bulanda i Antoni Jurowicz. Kucharką była sąsiadka Rozalia Bulanda /1891 – 1979/.

W 1934 r. Walenty Gawron wybudował własny dom i wokół niego założył dość duży sad. Jego żona Anna ogromnie harowała, gdyż on ciągle zajęty pracą społeczną mało mógł jej pomóc w gospodarstwie i wychowaniu czworga dzieci. Szczególnie dużo cierpiała w czasie niemieckiej okupacji, gdy mąż był poszukiwany przez gestapo i wtedy stale musiała czuwać, aby nie został ujęty. U ludzi cieszyła się tak dobrą opinią jak mało kto. Wielu osób była chrzestną matką. Należała do Róży Żywego Różańca. Gdy zmarła 7 stycznia 1976 r., przebywający w USA artysta malarz Wincenty Gawron napisał do swojego brata: *"Wiadomość o zejściu z tego świata Twojej wiernej towarzyszkii życiowej zasmuciła mnie bardzo, ale najpiękniej wyrażone słowa bratniego współczucia nie przywrócą jej do życia, chociaż jest pociecha, ta najważniejsza, że osiągnęła Niebo bez żadnej wątpliwości, była to bowiem tak wielka chodząca Zacność, z jakiej tylko wzór brać by należało. Gdzieżbym mógł przypuszczać, iż żegnając się z Nią wtedy w 74 roku pod koniec lipca, już Jej nie zobaczę... Po otrzymaniu Twego listu podumałem nieco nad krótkością naszego życia, ale nawet nie zmówiłem żadnego «Wieczne odpoczywanie», gdyż Bóg, który za życia uczynił z niej coś w rodzaju anioła, wziął Ją wprost w poczet dusz świetlanych i błogostawionych. Jest to tak wielkie moje przekonanie, że modlitwę za Jej duszę odrzuciłem ze swego planu".*

Zofia Bieda obdarzona była dość dużą inteligencją. Z zapałem czytała książki i czasopisma. Miała bardzo przykre życie, gdyż z powodu chronicznej choroby nóg, nabytej jeszcze w dzieciństwie, nie mogła sprawnie się poruszać i przez dłuższy czas do kościoła udawać na Mszę św., na skutek czego jej kontakty z ludźmi, których była spragniona, uległy znacznemu ograniczeniu. Przyrządziła proste, ale bardzo smaczne potrawy.

W październiku 1944 r., mimo swej marnej kondycji została wzięta do kopania okopów w Krynicy. Tam wkrótce zachorowała i jej brat Jakub był zmuszony ją zastąpić. Jednak stamtąd wnet zbiegł i wrócił do rodzinnego domu, gdzie już pozostawiono go w spokoju, ponieważ wówczas zaczynało się wyzwalamie spod okupacji hitlerowskiej.

Jakub Bieda, gdy w 1927 r. kończył naukę w szkole podstawowej, oprócz świadectwa z bardzo dobrymi ocenami odbierał nagrodę w postaci pięknego albumu, ufundowanego przez Spółdzielnię Spożywców "Jedność", zaopatrzoną dedykacją: *"Jakubowi Biedzie za pilność w oddziale 7-mym Szkoły Podstawowej w Sowlinach"*.



Jakub Bieda w 1937r.
Fot. Józef Tyras

Służbę wojskową odbywał od lutego 1936 r. do września 1937 r. Najpierw na przeszkoleniu przez 6 miesięcy był w Oświęcimiu, tu, gdzie powstał obóz zagłady, potem przy koniach w 21. Pułku Artylerii Lekkiej w Bielsku, gdzie również obsługiwał rumaka imieniem "Budrys", należącego do dzielnego gen. bryg. Józefa Kustronia.

Przy końcu sierpnia 1939 r. Jakub Bieda na mobilizację zgłosił się w Bielsku, po czym ze swymi kolegami do wybuchu wojny był w Cieszynie na postoju, wchodząc w skład formacji, występującej pod nazwą 21. Dywizji Piechoty Górskiej, dowodzonej przez gen. Józefa Kustronia. Ta w Mogilanach pod Krakowem z Niemcami stoczyła ciężki bój, a potem posuwała się na Zamość i Tomaszów Lubelski, gdzie została rozbita. Jej żołnierzy najpierw doprowadzono do cukrowni w Przeworsku, a po kilku dniach pociągiem wywieziono do Krakowa. Tu rolników zwolniono, a wśród nich rannego w nogę Jakuba Biedę. Pozostałych wzięto do Niemiec, gdzie część przepisała się na cywilów i ci zostali skierowani do pracy w gospodarstwach rolnych lub fabrykach, a resztę umieszczono w obozach jenieckich.

Uroczystościom pogrzebowym Jakuba Biedy, jako swego kolegi z ławy szkolnej i krewnego, 9 stycznia 1996 r. przewodniczył ks. bp dr Piotr Bednarczyk.

Władysław Bieda ma ścisły umysł i wyborną pamięć. W szkole powszechnej był świetnym uczniem. Zna liczne fakty z odległej przeszłości i umie je trafnie interpretować. Z dużym powodzeniem ukończył 3-letni Spółdzielczy Kurs Korespondencyjny w Łodzi. Namawiano go, by podjął pracę w biurze PZGS. Jednak na to się nie zdecydował. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy brakowało mebli, jako stolarz samouk znajomym solidnie zrobił wiele szaf i kredensów. Z bratem Jakubem wzorowo prowadził gospodarstwo rolne, szczególnie specjalizując się w hodowli bydła. Od 5 sierpnia 1997 r. jest pensjonariuszem Domu Pomocy Społecznej w Limanowej.

Wielu obecnie żyjących potomków rodu Biedów zdobyło wyższe wykształcenie i zamieszkuje w miastach, zachowując tylko pamięć o swoich wiejskich korzeniach.

O KAZIMIERZU SOSNOWSKIM

Często, gdy mówimy o pierwszych organizacjach turystycznych, czy o ludziach którzy je tworzyli w naszym mieście, kojarzymy tę sprawę z Towarzystwem Gimnastycznym "Sokół", z PTT, z hr. Fryderykiem Brezą. A przecież byli także inni ludzie, działający na rzecz turystyki, nie tylko w naszym regionie. Mam na myśli postać prof. Kazimierza Sosnowskiego. W tym roku mija 124. rocznica jego urodzin, a w przyszłym - 45. rocznica śmierci.

Urodził się 15 września 1875 r. w Niepołomicach pod Krakowem. Był przyrodnim bratem wielkiego polskiego aktora Ludwika Solskiego. Do szkół uczęszczał w Niepołomicach i Bochni, wykształcenie średnie zdobył w Gimnazjum św. Jacka w Krakowie, gdzie zaprzyjaźnił się ze swym ówczesnym kolegą szkolnym - Władysławem Orkanem. Po ukończeniu studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim rozpoczął pracę pedagogiczną jako aplikant w nowosądeckim gimnazjum. Obok języka polskiego uczył również greki, łaciny od 1904 do 1908 roku. Właśnie w naszym mieście nastąpiło pierwsze zetknięcie Sosnowskiego z górami, którym pozostał wierny do końca życia.

Z pasją działacza związał się z Oddziałem Towarzystwa Tatrzańskiego "Beskid" w Nowym Sączu, osiągając z czasem funkcję jego sekretarza. Od tego czasu szczególnie poświęcał się pracy z młodzieżą, znakowaniu szlaków w naszych Beskidach oraz ich zagospodarowaniu. Wyznakał pierwsze szlaki turystyczne w Beskidzie Sądeckim.

Do tej pory Beskidy pod tym względem pozostawały w cieniu Tatr. Tam powstawały szlaki turystyczne, schrony i altany, wykonywane staraniem założonego w 1873 r. Towarzystwa Tatrzańskiego, gdy tymczasem Beskidy praktycznie wówczas nie istniały dla polskiej turystyki. Najgorzej, nad czym prof. Sosnowski szcze-

gólnie ubolewał, było w Beskidzie Śląskim i Żywieckim, które usiłował opanować Beskidenverein, tworząc infrastrukturę. W Beskidach Zachodnich nie było wówczas ani jednego polskiego schroniska, ani jednego kilometra szlaku znakowanego przez Polaków.

Dziełem życia prof. Kazimierza Sosnowskiego był jednak monograficzny przewodnik wydany staraniem sądeckiego Oddziału "Beskid" zatytułowany *Przewodnik po Beskidach Zachodnich i Pieninach*, do dziś uważany za jedną z najciekawszych i najlepszych prac turystycznych. To pionierskie dzieło, wydane w 1914 roku, miało jeszcze trzy wznowienia w latach międzywojennych i jedno po wojnie (1949 r.), przez wiele lat będąc uznawane za podstawową i faktycznie obowiązkową lekturę przewodnikową.

Oprócz rzetelnej wiedzy o górach, jej florze i faunie, miejscowościach i ich mieszkańcach, prof. Kazimierz Sosnowski zawarł w swej pracy patriotyczne przesłanie, przywracając naszym górcom rodzime nazwy w miejsce zmienionych. W przedmowie autora czytamy: *"Daliśmy się ubiec obcym wrogim nam żywiołom w docenianiu i znajomości własnych gór. [...] Idźmy tam licznie, więdźmy nasze szkoły, uczmy polskości tych terenów"*.

Warto i dziś, choć dysponujemy wieloma nowszymi i aktualniejszymi przewodnikami, sięgnąć do przewodnika prof. Sosnowskiego, wyposażonego w szereg fotografii również jego autorstwa.

Zaraz po I wojnie światowej Kazimierz Sosnowski został przewodniczącym Komisji Zachodniobeskidzkiej PTT - jednej z trzech międzyoddziałowych komisji do spraw zagospodarowania turystycznego Beskidów Zachodnich. Profesor poświęcał wówczas wiele czasu na organizację, koordynację, nadzór nad pracą oddziałów PTT w zakresie znakowania szlaków i budowy schronisk.

Spotkanie z Kazimierzem Sosnowskim i pracę pod jego kierunkiem przy znakowaniu Babiej Góry wspominał Władysław Midowicz w miesięczniku *"Gościniec"* z marca 1990 roku:

"Prof. Sosnowski powitał 18-latkę (był to 1925 r.) obu rękami, a ja beztrząsko machnąłem ręką na rozpoczęte studia prawnicze i jak się w późniejszych latach okazało, poświęciłem niemal całe życie górcom. [...] Od Rabki przez Turbacz po Hałą Długą znakowałem w towarzystwie prof. Sosnowskiego w jesieni 1927 roku i to autentycznym cynobrem zakupionym za dotację wytargowaną przez profesora od Wydziału ZG PTT".

W 1923 r. Kazimierz Sosnowski wystąpił z inicjatywą uporządkowania i usystematyzowania chaotycznej wówczas sieci szlaków górskich i utworzenie Głównego

Szlaku Zachodniobeskidzkiego. Projekt przyjęto i prace ukończono w 1930 roku. W ciągu tych siedmiu lat dalekobieżny szlak czerwony wiódł głównym grzbietem Karpat i połączył Ustroń w Beskidzie Śląskim z Krynicą na pograniczu Beskidu Sądeckiego z Beskidem Niskim.

W tym samym czasie prof. Sosnowski czynnie uczestniczył w zabiegach przy budowie górskich schronisk, w tym na Turbaczu (1925), Jaworzynie Krynickiej (1935), Policy (1936) i Przehybie (1938).

Działalność sądeckiego profesora została należycie doceniona. W 1933 r. Kazimierz Sosnowski otrzymał godność Honorowego Członka PTT, a w rok później prezydent Ignacy Mościcki odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta.

Po II wojnie światowej powrócił do czynnej działalności na rzecz turystyki. Kontynuował prace popularyzatorskie, wydawnicze, z uporem walczył o ochronę przyrody i o stworzenie parków narodowych: Tatrzańskiego, Babiogórskiego i Pienińskiego. Swoje zainteresowania skierował na północne regiony Małopolski, których poznanie "zawdzięczał" latom okupacji. Mógł je wtedy szczegółowo poznać, gdyż wędrówki po Beskidach były podczas wojny bardzo utrudnione. Owocem tych zainteresowań były publikacje: *Jura Krakowska* (1951), *Jura Krakowsko-Wieluńska* (1955), *Pasma Krakowsko-Jaworznickie* (1955).

W końcu lat 40. Kazimierz Sosnowski był jednym z inicjatorów, a także twórców bardzo popularnego dziś Szlaku Orlich Gniazd na terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Na obszarze Beskidu Małego, Średniego i Wyspowego zaprojektował i dozorował wytyczenie tzw. Małego Szlaku Beskidzkiego ze Straconki na Luboń Wielki.

Z okazji 75-lecia PTT, w uznaniu wielkich zasług dla rozwoju turystyki i krajoznawstwa, został w 1948 roku uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W latach 1947 – 1948 ukazały się wznowienia jego przewodników, wydane zostały także dwa tomy *Ziemi Krakowskiej* jego autorstwa. Kazimierz Sosnowski był również autorem wielu publikacji zawierających spostrzeżenia z wielu podróży po krajach Europy oraz prac publicystycznych poświęconych m.in. wychowaniu młodzieży.

Prof. Kazimierz Sosnowski zmarł 15 grudnia 1954 roku w Krakowie mając 79 lat. Pochowany został na cmentarzu Salwatorskim przy dźwiękach góralskiej kapeli. W pamięci wszystkich, którzy go znali, pozostał jako człowiek miły i przystępny, o wysokim poczuciu moralności. Mówiono o nim, że był człowiekiem bez skazy.

Na Walnym Zjeździe PTTK w 1955 roku ustanowiono najwyższe odznaczenie organizacyjne - Złotą Honorową Odznakę PTTK. Jednym z pierwszych odznaczonych był prof. Kazimierz Sosnowski. Jego imieniem nazwano schronisko na Hali Krupowej oraz Dom Turysty PTTK w Krakowie. W maju 1967 r. otwarto w nim muzeum biograficzne "Gabinet Kazimierza Sosnowskiego", w którym przechowywane są pamiątki po nim (dar żony Marii Sosnowskiej): rękopisy przewodników, korespondencja, sprzęt turystyczny itp.

Andrzej Matuszczyk w *Notach biograficznych ludzi gór* pisze: *"Muszę przyznać, że im dłużej analizuję archiwalia Profesora zagłębiając się w tok Jego żmudnych prac, polemik, nadzorowanych akcji, setek odbytych wycieczek górskich i krajoznawczych w Polsce i po całej Europie, ogromnej ilości kontaktów z najbardziej znamienitymi osobami współczesnymi Kazimierzowi Sosnowskiemu - tym bardziej wzrasta dla Niego podziw. Jest rzeczą wręcz niepojętą - jak tego wszystkiego dokonać mógł jeden człowiek".*

Przedruk z kwartalnika "Beskid" nr 1 (39), pisma Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział BESKID w Nowym Sączu.

WOJCIECH KUDYBA, DANUTA SUŁKOWSKA,
BARBARA KRĘŻOŁEK-PALUCHOWA, WANDA ŁOMNICKA-DULAK

POEZJA ŁĄK

Trudno powiedzieć, byśmy mieli zamiar wygłosić poetycki manifest. Łączy nas jednak pewien sposób myślenia o poezji, który sprawia, że także w naszych wierszach buszuje niekiedy ten sam wiatr. Ciepły, południowy podmuch od wysokich łąk.

Łąkowe wzgórza nad Popradem i Dunajcem są łagodne, przestronne i zewsząd otoczone przez daleki błękit. Dlatego też poezja, którą ktoś chciałby tam uprawiać – leżąc wśród traw, z *zadartą w górą wieżą nosa* – powinna, jak sądzimy, mieć szeroki oddech: przestronną frazę, zdolną pomieścić wiele subtelnych odcieni powietrza. *Miejsce w królestwie buków* usposabia do *rozmowy z wiatrem*. Powiew otwiera w nas samych nieoczekiwane przestrzenie wrażliwości. Niekiedy wśród gór *jasny oddech światła pokazuje liczne drogi. Każda chwila prowadzi do źródeł słowa. Każde słowo otwiera przed nami swoje wnętrza*.

Uprawianie poezji powinno więc być rodzajem podróży wewnętrznej. Pisanie wiersza powinno być wchodzeniem w głąb – np. w głąb ciała, w wędrówki limfy i krwi, poruszenia serca. Praca nad słowem zawsze jest przecież rodzajem pracy nad sobą. Tworzenie wiersza jest w istocie **tworzeniem samego siebie**. Sposobem odkrywania własnego wnętrza. Poszerzaniem miejsc, które nasza dusza odwiedza najchętniej.

Niech naszym bohaterem będzie zatem człowiek szukający samego siebie, swej istoty, swego najskrytszego wnętrza, swojej duszy. Niech wędrówka w głąb ciała będzie dla nas metaforą drogi wewnętrznej. Symbolem medytacji.

Nie oczekujemy zresztą zbyt wielu metafor. Zadowolą nas słowa proste i proste

formy wiersza – choćby tak oszczędne jak haiku i tanka. Będzie nam raczej zależało na tym, by wiersz, choćby jedno jego zdanie, mogły stać się przedmiotem osobliwego, "przeżuwania", by jego spokojny rytm niósł słowa podobne o rzecznych kamieni, na których znać wiekową pracę żywiołu. Naszym ideałem jest przezroczystość. Swoista "bezosobistość" słów, która sprawia że nie przesłaniają one sobą rzeczywistości. Sądzimy, że do takiej czystości słowa dojrzewa się długo. Przez długie lata obcowania z powietrzem i światłem.



SPIS TREŚCI

Ks. Stanisław Pietrzak PIERWSI ŚWIĘCI ZIEMI SADECKIEJ - ŚWIERAD I BENEDYKT	3
Piotr Rychlewski ZARYS DZIEJÓW KLUCZA MUSZYŃSKIEGO DO KOŃCA XVIII STULECIA	15
Jacek Zaremba OSTATNI SADECKI STAROSTA	23
Jerzy Grupiński WIERSZE	28
Bolesław Łazarz WIELKANOCNY PASZYN	40
Władysława Lubasiowa ŚWIATŁA OBRAZU I CIENIE	43
Tadeusz Basiaga WIERSZE	61
Jerzy Giza Z KSIĘGI MAŁŻEŃSTW DUSZPASTERSTWA GARNIZONU NOWY SĄCZ	71
Wincenty Gawron RÓD BIEDÓW W SOWLINACH	76
Anna Totoń O KAZIMIERZU SOSNOWSKIM	82
LISTY, OPINIE, POLEMIKI, RECENZJE	86

